Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

WIR ŚWIATA

tygodniowa rewja prasy

№ 23 — CENA 40 gr.

WARSZAWA

23 - IX - 1934 R.

DZIŚ W NUMERZE:

Polska a traktat mniejszościowy

OŚWIADCZENIE MIN. BECKA

W przewidywaniu opozycji, któraby miała uniemożliwić realizację polskiego wniosku, poczuwam się do obowiązku oświadczenia już dziś w imieniu Rządu Polskiego, że do czasu wprowadzenia w życie powszechnego, jednolitego systemu międzynarodowej ochrony praw mniejszości, rząd polski, nie będzie od dnia dzisiejszego współpracował z organami międzynarodowemi w zakresie kontroli nad stosowaniem przez Polskę zasady słusznego i równego traktowania mniejszości.

Rozumie się samo przez się, że ta decyzja Rządu Polskiego nie pozostaje w żadnym związku z istotnie realnemi interesami mniejszości. Te interesy są i będą chronione przez Konstytucję i inne podstawowe ustawy polskie, które gwarantują mniejszościom rasowym, językowym i religijnym pełną swobodę ich rozwoju kulturalnego i równość traktowania.

———

Echa oświadczenia w Europie

W Polsce

Stanowisko Polski nie ulegnie zmianie

Polska odrzuca od siebie stanowczo, zdecydowanie i na zawsze wszelkie poniżenie jej w stosunku do innych, wszelkie próby traktowania jej jako Państwo drugiej kategorji.

Przez słowa min Becka mówi wola całego narodu, Narodu który nie może zgodzić się z tem, aby dzielono Europę na części: dojrzałą i niedojrzałą, na wolną i skrępowaną, na rządzącą i rządzoną, na pełnoprawną i ubezwłasnowolnioną, na suwerenną i niesuwerenną — i aby do owej części niedojrzałej, skrępowanej, rządzonej, ubezwłasnowolnionej i nie posiadającej pełnej suwerenności — zaliczano Rzeczpospolitą Polską.

Nie chodzi tu o ideę ochrony mniejszości narodowych. Polska nie przeciwstawia się zasadzie ochrony mniejszości, nie krytykuje jej wcale. Co więcej — zgłasza gotowość przystąpienia do umowy o ochronie mniejszości — jeśli umowa ta będzie powszechna. Ale tylko wtedy. Gdyż chodzi nam o sprawę postokroć wyżli idea równego i sprawiedliwego traktowania jednostek — ważniejszą. Chodzi o sprawę równego traktowania narodów i państw.

* * *

Jest bardzo prosty sposób uzgodnienia politycznej treści oświadczenia ministra Becka, — której to treści delegaci Wielkiej Brytanji, Francji i Włoch nie zakwestjonowali — z przepisami proceduralnemi, jakie ciż delegaci uznali za obrażone ze strony polskiej. Sposób taki istnieje. Ale jest tylko jeden. Jest nim uchwalenie wniosku polskiego zgłoszonego na Zgromadzeniu Ligi Narodów, oraz wprowadzenie w życie powszechnego systemu ochrony mniejszości narodowych.

Jest to jedyna droga praktyczna, aby uzgodnić słuszną i uznaną w zasadzie za słuszną treść polityczną żądań polskich — z formułami prawnemi. Nic nie stoi formalnie na przeszkodzie do takiego właśnie załatwienia sprawy.

Złudzeniem byłoby przypuszczenie, że stanowisko Polski, wyrażone powściągliwie, lecz stanowczo przez ministra Becka ulegnie zmianie wskutek tych czy innych obietnic lub uwag. Uważamy za nasz obowiązek ostrzec opinję świata przed podobnemi nadziejami.

Mamy słuszność. I będziemy jej bronić.

„Gazeta Polska", Warszawa.

Można uniknąć konfliktu

Polska nie poszukuje jaskrawych efektów, a jedynie rozcięcia sytuacji, która nie może być dłużej cierpiana. Można było uniknąć ostrości końcowego ustępu mowy min. Becka, gdyby mocarstwa były we właściwym czasie uruchomiły normalną procedurę rewizji absurdalnego stanu traktatowego w dziedzinie ochrony mniejszości. Można i dzisiaj uniknąć konfliktu, jeśli się jaknajpośpieszniej i z całą szczerością przystąpi do odrobienia zaniedbań. Lecz nie można napewno żadnemi strachami natury proceduralno-prawniczej skłonić Narodu Polskiego do dalszego znoszenia monstrualnej sytuacji, ani znaleźć takiego rządu polskiego, któryby ośmielił się uczynić mu taką propozycję.

Natomiast można napewno liczyć na jaknajgorliwszą współpracę Polski nad znalezieniem drogi pogodzenia jej wniosku i jej decyzji z interesami Ligi Narodów oraz traktatami. Pod warunkiem, że będzie to droga działania i to szybkiego, a nie oportunizmu.

„Kurjer Poranny", Warszawa.

Zapowiedź będzie wykonana

Akcja na rzecz generalizacji traktatów nie ma szans powodzenia, wobec czego wczorajsza zapowiedź Polski prędzej czy później stać się musi faktem dokonanym. Tem samem dzień wczorajszy uważać należy o tyle za historyczny, iż w dniu tym Polska istotnie odrzuciła zasadę kontroli międzynarodowej nad wykonywaniem przez nią zasad „słusznego i równego" traktowania mniejszości.

Nie wątpimy ani na chwilę, iż koło tej deklaracji rozpęta się niebawem prawdziwa burza i rozumiemy doskonale, iż deklaracja ta stanowi dopiero początek pewnego etapu, pewnej drogi, którą tu będzie trzeba przebyć. Nie będzie to droga łatwa, ani prosta. Dyplomacja polska wkroczyła jednak obecnie wogóle na drogę nie łatwą i nie prostą i kroczy po niej konsekwentnie i wytrwale.

„Kurjer Polski", Warszawa.

Spokojnie i ostrożnie

To znaczy, że Polska odtąd nie weźmie udziału w dyskusjach, któreby ewentualnie rozwinęły się w Lidze, wskutek zażaleń wniesionych przez polskie mniejszości narodowe, i uchwał, któreby następnie zapadły, nie uzna za obowiązujące. Krok to bardzo poważny i niezawodnie dobrze przemyślany, który jednak musiał być zrobiony, po ciężkich doświadczeniach jakieśmy poczynili na terenie Ligi Narodów

Od czasu wstąpienia Niemiec do Ligi, państwo to uznało się za protektora niemców polskich, popierało ich zażalenia, domagało się wyjaśnień od rządu polskiego, i rozciągało w ten sposób kontrolę nad wewnętrznemi sprawami Polski. Po oczekiwanem wstąpieniu Rosji, — zachodziła słuszna obawa, że przedstawiciele Sowietów w Lidze zechcą zastosować metody niemieckie. Taki stan rzeczy był dla państwa niezawisłego nie do zniesienia. Teraz sprawa została postawiona na ostrzu miecza, jeżeli można użyć tego porównania przy omawianiu tak pokojowego zagadnienia.

Polska niema wcale zamiaru narzucać przepisy traktatu o mniejszościach, Francji albo Włochom, — lecz pragnie jedynie, aby problemat był rozważony i rozwiązany z ogólnego punktu widzenia. Traktat o mniejszościach — w obecnej swojej formie już się przeżył i zachodzi potrzeba zmiany podstaw, na których był oparty. Inicjatywa polska jest zatem zupełnie na czasie i będzie niezawodnie przyjęta ze szczerem zadowoleniem przez wszystkie państwa, które znalazły się w podobnem położeniu jak Polska.

„Czas", Warszawa—Kraków.

W Polsce

Zadowolenie

Jesteśmy wyrazicielami kierunku, który od lat 14-stu domagał się zrzucenia przez Polskę upokarzającego jarzma traktatu mniejszościowego. Skoro nie pomagały apele do poczucia sprawiedliwości czynników międzynarodowych i zawiodła metoda układów i pertraktacyj, należało przeciąć ropiejący wrzód i samemu zrzucić haniebną obrożę.

Nie wahamy się sformułować naszego jaknajbardziej pozytywnego stosunku do wczorajszego kroku rządu polskiego, jakkolwiek rząd ten zdecydowanie zwalczamy w zakresie polityki wewnętrznej, a co do całości prowadzonej przez niego polityki zagranicznej mamy poważne wątpliwości.

„ABC“, Warszawa.

Bez kurateli

Cała opinja publiczna przyjmie z zadowoleniem ten krok rządu polskiego. Możemy się różnić w poglądach na sprawy wewnętrzne, możemy się nawet różnić w poglądzie na pakt wschodni i krytykować rząd za jego taktykę w tej sprawie, ale jeżeli chodzi o postępowanie w sprawie traktatu mniejszościowego, opinja jest całkowicie po stronie naszej dyplomacji. Tembardziej, że przecież odrzucenie to nie jest bezwzględne, ale warunkowe, i Polska gotowa nanowo wziąć na siebie wszelkie zobowiązania z tytułu traktatu mniejszościowego, jeżeli traktat ten będzie powszechny.

O nic innego tu nie chodzi, jak o sprawiedliwość i równe traktowanie wszystkich członków Ligi Narodów.

„Kurjer Codzienny“ 5 gr., Warszawa.

Zasadnicza koncepcja słuszna — ale nastąpiło uderzenie w Ligę

Zasadnicza koncepcja min. Becka w sprawie ochrony mniejszości narodowych była i jest bezwarunkowo słuszna; stawialiśmy zawsze kwestję tak samo: postulat międzynarodowej ochrony mniejszości uznajemy za słuszny, musi on być zrealizowany powszechnie, nie może stanowić „prawa wyjątkowego“ dla pewnej grupy państw przy jednoczesnem zwolnieniu od obowiązków państw innych, jako że są one „wielkiemi mocarstwami“.

Taktyka, wybrana przez p. Becka, pociągnęła za sobą pewne objektywne konsekwencje, z których trzeba zdać sobie sprawę, gdyż zbiegła się ona z odrzuceniem francuskiego projektu „paktu wschodniego“:

1) autorytetowi Ligi Narodów został niewątpliwie zadany cios bardzo poważny, cios nowy po ciosach poprzednich (sprawa wojny chińsko-japońskiej, wystąpienie Niemiec z Ligi i t. d.);

2) nastąpiło też nowe uderzenie w cały ten system traktatów i umów, które powstały z wojny lat 1914 — 1918, — uderzenie, naturalnie, pośrednie, ale — niemniej — istotne;

3) rozbieżność pomiędzy polityką polską a polityką francuską wzmogła się znacznie; o jednolitej polityce obu państw niema już w dziedzinie omawianej mowy.

„Robotnik“, Warszawa.

Obawa o Traktat Wersalski

Tak więc rząd polski podjął, za pośrednictwem swego przedstawiciela w Genewie, sprawę słuszną i w dodatku prawie że już dojrzałą. Zachodzi tylko pytanie, czy metoda, obrana przez p. Becka, jest całkowicie bezpieczna?

Już we wstępnych uwagach p. Becka uderza pochwała zasady *równości* wszystkich członków Ligi Narodów Jest to argument, którym raz po raz posługują się Niemcy, dopominające się o równouprawnienie w zbrojeniach, ale który nie odpowiada ani interesom pacyfistycznym Ligi Narodów, ani dotychczasowej postawie Polski. Przecież samo żądanie stałego miejsca w Radzie Ligi Narodów kłóci się z zasadą równości, zasadą w istocie doktrynerską, nie odpowiadającą praktyce życia, czysto papierową.

Rzecz ważniejsza jednak, że konkluzja mowy p. Becka, zawierająca zapowiedź niestosowania traktatu o mniejszościach, jest próbą zwolnienia się z zobowiązań, stanowiących fragment tak podstawowego dla Polski traktatu, jak Traktat Wersalski. Tu nie idzie o mniejszości narodowe. Nikt nie wątpi, że pod tym względem nic się w Polsce nie zmieni na gorsze, i p. minister mógł sobie oszczędzić drażliwości powoływania się na gwarancje konstytucji marcowej. Tu idzie o co innego. W Genewie, w Paryżu, w Berlinie — mówi się o tem, że rząd polski zamierza jednostronnie zaczepić traktat i to traktat tak doniosły, tak fundamentalny, jak Wersalski Wrażenie z tego powodu jest tem głębsze, ile że polityka polska polegała dotychczas na niezłomnej obronie traktatów i że wyłącznie nieprzyjaciele postanowień traktatów z Wersalu, Trianon i innych czynili zamachy na ich nienaruszalność.

„Kurjer Warszawski“, Warszawa.

Odebrać żydom wszelkie prawa

Jasno i z naciskiem powtarzamy, iż krok, uczyniony przez min. Becka w Genewie, jest krokiem naprzód i odpowiada poglądom i dążeniom całego — bez wyjątku — polskiego społeczeństwa.

Zastrzeżenia budzi w nas natomiast końcowy ustęp oświadczenia min. Becka:

„Te interesy są i będą chronione przez Konstytucję i inne podstawowe ustawy polskie, które gwarantują mniejszościom rasowym, językowym i religijnym pełną swobodę ich rozwoju kulturalnego i równość traktowania“.

Istnieje i nieustannie wzmacnia się w Polsce prąd opinji, domagający się reformy konstytucji w tym sensie, ażeby ludność żydowska pozbawiona została praw politycznych, aby — mając pewną swobodę przy załatwianiu swoich wewnętrznych spraw żydowskich — pozbawiona została głosu i wpływu, jeżeli chodzi o rozstrzyganie spraw ogólnych, spraw polskich. Prąd ten, zgodny z wielowiekową tradycją polską i europejską, zgodny też z nowoczesnem pojmowaniem kwestji żydowskiej w związku z bankructwem dawnych idej asymilacyjnych — wzrasta nieustannie na sile i nietrudno przewidzieć, iż prędzej czy później zatriumfuje w polskiej polityce wewnętrznej i w polskiem ustawodawstwie.

Jeżeli bowiem opinja narodowa tak energicznie domagała się zniesienia „traktatów o mniejszościach“, to chodziło jej nietylko o względy formalne, o nasz „prestige“ mocarstwowy, ale i o faktyczne usunięcie przywilejów, jakie umowy te zabezpieczały dotąd żydom w Polsce w całym szeregu dziedzin życia zbiorowego. Chodziło jej też wogóle o usunięcie z naszych stosunków prawno-politycznych pojęcia „mniejszości narodowych“, pojęcia stworzonego właśnie przez te traktaty, a zastąpienia go uczciwą, sprawiedliwą polityką w stosunku do każdej z zamieszkujących Polskę grup językowych i etnicznych, z natury rzeczy odmiennie traktującą odwieczną, autochtoniczną ludność ruską czy białoruską, odmiennie zaś — napływowy, obcy nam pochodzeniem i etyką żywioł żydowski.

„Gazeta Warszawska“, Warszawa.

Głosy mniejszości

Cios dla żydów

Świadomość mniejszości w państwie, że ich prawo opiera się w pewnym, bodaj tylko formalnym sensie, na czynnikach międzynarodowych w znacznym stopniu przytępiła ich aspiracje. Gdy zaś ochrona międzynarodowa zostaje unieważniona, to toruje się tem samem drogę skrajnym elementom nacjonalistycznym.

Co za cios będzie to dla nas żydów — zbyteczna rzecz mówić. Prawda, że — jak min. Beck sam podkreślił w swej mowie — mniejszości nie mają z traktatów międzynarodowych żadnej realnej korzyści. Ale istnienie traktatów bądźcobądź miało znaczenie symbolu, który jednakże przestraszał te państwa, które mają złe sumienie wobec swych mniejszości.

„Hajnt“, Warszawa.

Obawa o los żydów w innych krajach

Gdyby generalizacja ochrony mniejszość została dokonana odrazu w Wersalu nie mógłby istnieć w Niemczech paragraf aryjski, który jest aktem niesłychanego ucisku wobec całej ludności żydowskiej. To też Konferencja Wszechżydowska w Genewie niedawno wypowiedziała się stanowczo za upowszechnieniem.

Duży odłam opinji zarówno w Polsce, jak i zagranicą, pojął to jako wypowiedzenie traktatu mniejszościowego aż do czasu jego upowszechnienia. W tem właśnie tkwi pewne niebezpieczeństwo szczególnie dla nas, żydów, na tle stosunków nietyle w Polsce, ile w innych krajach. W Polsce prawa mniejszości zostały zagwarantowane w Konstytucji, przyczem wierzymy, że przy obecnej konstelacji wewnętrzno-politycznej, żadna zmiana konstytucji nie spowoduje uszczuplenia naszych praw. Utwierdza w tem tembardziej wyraźne zapewnienie min. Becka, że realne interesy mniejszości nie ucierpią. Ale są kraje, co do których tej pewności niema. Państwa, w których wzmagają się wpływy szowinistyczno-antysemickie mogą naśladować przykład Polski i zawiesić działanie traktatów mniejszościowych już nie w imię powagi państwa i idei równości wszystkich krajów przed prawem, lecz dla konkretnego uwolnienia się od zobowiązań i uprawiania wobec innoplemieńców polityki ucisku.

„Nasz Przegląd“, Warszawa.

Żadna zmiana dla żydów

Za nic na świecie nie chciałbym, żeby z tej sprawy robić jakąś aferę żydowską. Nam się o tyle złego nie stało, żeśmy nic dobrego z tego nie mieli. A zatem żadna dla nas zmiana na gorsze nie zaszła. Nikt nie powie, że wobec nas był traktat o mniejszościach narodowych istotnie spełniony. A z drugiej strony jest faktem stwierdzonym, i powszechnie znanym, żeśmy nigdy nie próbowali się bronić i nie zanosili żadnych skarg do odnośnych instancyj genewskich. Liga Narodów z żadnem zażaleniem żydowskiem w sprawie traktatów mniejszościowych nie miała do czynienia.

Jeżeli to pociągnięcie naszego ministra spraw zagranicznych uważam za błędne, to wyłącznie z tego względu, że nasze stanowisko w sprawie traktatów musi być stanowcze i niezachwiane.

Rabin Thon,
„Nowy Dziennik“, Kraków.

I dobrze, i źle

Minister Beck złożył wczoraj w Genewie oświadczenie przekreślające nietylko faktycznie, ale i formalnie międzynarodową ochronę mniejszości narodowych. Dotąd ochrona ta była zwodnicza i problematyczna i nie dawała mniejszościom prawdziwych korzyści. Teraz odpada jeszcze ta ostatnia osłona, ostatnia międzynarodowa deska ratunku, na jaką mogły jeszcze liczyć mniejszości. Niema co okłamywać się: dotychczas istniały w Lidze takie stosunki, że ani pokrzywdzone mniejszości nie znajdowały w niej opieki, ani postanowienia Ligi nie były szanowane

Każda polityka pozbawiona rozumu i taktu ma dwa końce. Uderzenie, jakie spadło na mniejszości narodowe ze strony ministra Becka, ugodziło we Francję, która używała wszystkich sił, aby zdobyć monopol na międzynarodową ochronę mniejszości narodowych.

Dla nas ukraińców, wielkiego narodowego zbiorowiska, tworzącego większość na własnem terytorjum, zarówno jak i dla innych mniejszości, wystąpienie ministra Becka ma dwojakie znaczenie: 1 — negatywne — to pozbawienie nas ostatniej możności walki o nasze prawa w wąskich granicach międzynarodowych traktatów, 2 — pozytywne — jako bezsprzeczna demonstracja przeciw Francji i przeciw francusko-sowieckiej kombinacji dla wciągnięcia Sowietów do Ligi Narodów, bez przedłożenia im do podpisu traktatu o mniejszościach narodowych i jako niewątpliwa kompromitacja Ligi i to w chwili, kiedy ta przez wstąpienie Sowietów przemieniła się w organizację wybitnie antyukraińską.

„Diło“, Lwów.

We Francji

Pochwała

Niemcy nie przestają zapewniać, że szanują traktaty, łamiąc je stale bezkarnie. Polska natomiast oświadcza uczciwie, że odtąd nie uważa się za związaną traktatem, którego rewizji domaga się już od pięciu lat i wciąż daremnie. Wypadek jest niewątpliwie przykry. Lecz trzeba spojrzeć na sprawy rzeczowo. Kiedy wielki naród protestuje od pięciu lat przeciwko stanowi rzeczy, który naraża na szwank organizację jego bytu państwowego, kiedy od pięciu lat domaga się on nie eskamotowania jego obowiązków, lecz reformy, któraby na wszystkie państwa takie same obowiązki nałożyła, kiedy widzi, że wszelkie jego starania są i pozostają stale jałowe, cóż pozostaje mu do uczynienia? W tej sytuacji ma on dwie drogi do wyboru: wykręcać się ze swoich zobowiązań i nie mówić nic, albo otwarcie oświadczyć, że nie zamierza nadal znosić tego upokorzenia. Z pierwszą metodą można być pewny życzliwości i kwiatów w Genewie, z drugą zaś musi się liczyć na „zgorszenie“ i na oskarżenia, że się pragnie zdemolować instytucję genewską.

Minister polski wolał jednak wybrać drugą metodę i czyni to w przekonaniu, że nie narusza traktatów, lecz przeciwnie wzmacnia solidarność międzynarodową, albowiem nie otwarte i szczere naprawienie nienormalnych stosunków naraża na szwank międzynarodowe zaufanie, lecz właśnie chytre wykręty, które obalają zobowiązania, udając przytem, że je respektują.

Saint Brice,
„Le Journal“, Paryż.

Polska zadała okropny cios Lidze Narodów

Przemówienie wygłoszone przez pułkownika Becka na zgromadzeniu Ligi Narodów, zagrzmiało jak grom z jasnego nieba i wstrząsnęło głęboko posadami Ligi Narodów.

Pertinax,
„L'Echo de Paris“, Paryż.

(Dokończenie na str. 12)

OKRĘT W PŁOMIENIACH

Przerażająca katastrofa Morrocastle stanowi jeszcze jeden dowód, że ogień jest w dalszym ciągu najgroźniejszym wrogiem żeglarzy.

Huragany, tajfuny i burze zimowe, szalejące na północnym Atlantyku przestały już być straszne dla współczesnych olbrzymów morskich, wyposażonych w urządzenia, uniemożliwiające kołysanie się i w gyroskopy, utrzymujące równowagę; niebezpieczeństwo rozbicia o góry lodowe, które zniszczyły Titanica, jest poważnie zmniejszone przez nieustanne wywiady atlantyckich patrolów lodowcowych; mgłę zwyciężył Marconi; natomiast niebezpieczeństwa ognia bynajmniej nie usunięto, jest ono dziś większe niż kiedykolwiek.

Dlaczego tak się dzieje? Postęp wiedzy, jeżeli nie usunął, to poważnie zmniejszył wszystkie inne niebezpieczeństwa morza, a mimo to w ciągu ostatnich kilku lat więcej okrętów i więcej istnień ludzkich zginęło w ogniu, niż kiedykolwiek przedtem. Dlaczego?

Wybuchy

Kilka istnieje przyczyn. Nie można przemilczeć, przeważnie winni są — może bezwiednie, ale zawsze winni — projektodawcy, konstruktorzy — właściciele okrętów, oraz władze rządowe, sprawujący inspekcję pasażerskich statków.

Pożar na okręcie może być spowodowany tysiącem rozmaitych przyczyn, tak samo, jak pożar na lądzie; dzięki jednak trzem właściwościom współczesnego parowca zaprószenie ognia jest na statku o wiele groźniejsze, niż gdziekolwiek indziej.

Pierwszą przyczyną jest obecność na szczupłej przestrzeni olbrzymich ilości paliwa. Drugą — masa łatwopalnych materjałów takich, jak meble, obicia ścian i przedmioty dekoracyjne. Trzecią jest system wentylacji.

Istnieje kilka bardzo skutecznych sposobów gaszenia palących się smarów chemiczną pianą, ale żaden z nich nie daje rezultatu, kiedy w grę wchodzi nagromadzone w większych ilościach paliwo. Wybuchy podczas palenia się benzyny czy nafty, oraz gazy i gwałtowność płomieni udaremniają wszelkie próby gaszenia ognia zapomocą sztucznych środków. Chemiczna piana jest doskonała, jeżeli ogień ogranicza się do małej przestrzeni; kiedy jednak eksploduje zbiornik, a paląca się nafta rozlewa się po wszystkich zakamarkach, niema takiego okrętu, któryby mógł wieźć dostateczną ilość gaszącej piany.

Łatwopalny luksus

Kiedy ogień wybucha w pomieszczeniach pasażerskich, walka z nim staje się niemożliwością. Mało jest rzeczy palących się lepiej od celulozy — a ona przecież stanowi najczęściej używany materjał do dekoracji kabin, korytarzy i salonów.

Nieuważnie rzucony niedopałek papierosa czy zapałka, czy może przetarty drut elektryczny mogą łatwo wzniecić pożar, i zanim ktokolwiek na statku zdoła się zorjentować, płomienie pędzą już wzdłuż korytarzy, przedzierają się przez ściany — podsycane na swej drodze farbą, portjerami, dywanami i meblami.

To nas doprowadza do trzeciego czynnika — do wentylacji.

Niebezpieczna wentylacja

Wentylacja mechaniczna na okrętach, zwłaszcza na statkach, przeznaczonych do służby tropikalnej, jak Morrocastle, doprowadzona została do wyżyn prawdziwej sztuki; udoskonaleniami w tej dziedzinie jednak konstruktorzy znacznie zwiększyli niebezpieczeństwo pożaru.

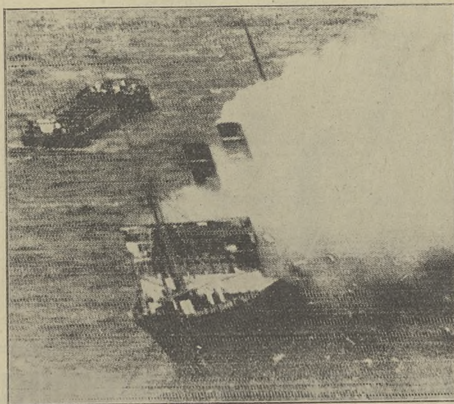
Tysiące metrów przewodów powietrza, wentylatory, które wciągają i wypuszczają powietrze, kanały i szyby prowadzące do górnych pokładów zamieniają okręt z chwilą wybuchu pożaru w wielki piec hutniczy.

Każdy wie, że zasadniczym i najskuteczniejszym środkiem zaradczym na wypadek pożaru jest zamknięcie okien. Łatwo sobie zatem wyobrazić stan okrętu, podziurawionego przewodami, których nie można zamknąć i których przeznaczeniem jest dostarczanie pokojom mieszkalnym maksymalnej ilości świeżego powietrza.

Katastrofa Morrocastle jest trzecią z rzędu tego rodzaju wielką katastrofą w przeciągu ostatnich dwóch lat. A były przecież i inne mniej głośne, bo nie pociągnęły za sobą wypadku w ludziach.

Francuzi stracili okręty Georges Phillippar i Atlantique; amerykanie — Morrocastle.

Statek przewożący owoce z Jamajki „The Jamaica Producer" został uszkodzony przez ogień w dokach londyńskich w listopadzie 1933 roku; na szczęście nikogo nie było na pokładzie i nikt nie postradał życia.



Zdjęcie płonącego „Morro Castle", przesłane przez radjo.

Dwa lata temu Izba Żeglarska zwołała specjalny komitet ekspertów dla zbadania sprawy pożarów na morzu. Dotychczas jeszcze obraduje.

Międzynarodowa konferencja żeglarska ma zebrać się w Londynie w listopadzie dla przedyskutowania kwestyj subsydjów i racjonalizacji; dobrze byłoby może, gdyby opracowała także i konwencję, któraby rozstrzygnęła wszystkie te zagadnienia i mogła być włączona do przepisów prawnych wszystkich państw.

Zagadnienie materjałów używanych do budowy okrętów winno być szybko i gruntownie zbadane wraz z problemem wentylacji, urządzeń ratowniczych i sposobem wykrywania i gaszenia ognia.

Poco budować okręty ze stali, kiedy ich wnętrza naładowane są najpodatniejszym dla olbrzymich pożarów materjałem? Poco kłopotać się o łodzie ratunkowe dla wszystkich, kiedy zbiornik z paliwem może wybuchnąć dzięki iskierce i zamienić okręt w ciągu kilku sekund w piekło płomieni? Poco interesować się statkami handlowemi, kiedy struktura okrętu pasażerskiego przypomina piec hutniczy?

To są zagadnienia, które należy rozstrzygnąć jaknajszybciej jeżeli publiczność ma darzyć zaufaniem okręty, którymi podróżuje.

„Daily Express", Londyn.

UPTON SINCLAIR — GUBERNATOREM

Pisarz-socjalista chce zatrudnić wszystkich bezrobotnych

Z niezupełnych jeszcze obliczeń wynika, że powieściopisarz i dramaturg Upton Sinclair zdobył nominację na kandydata na gubernatora Kalifornji. W próbnych wyborach na 7.164 okręgów wyborczych — ogółem jest ich 10.703 — Sinclair zdobył przewagę nad swoim kontrkandydatem Georgem Creelem, byłym urzędnikiem N. R. A. w stosunku 295.692 do 169.404 głosów. Wybory ostateczne odbędą się w listopadzie między Sinclairem i kandydatem republikanów Frankiem Merriam'em.

Upton Sinclair powiedział, że „jest to zwycięstwo nie moje, lecz „New Deal'u".

P. Creel, jego rywal, również popierał rząd waszyngtoński.

Aczkolwiek Sinclair jednał sobie wyborców, jako zwolennik reform Roosevelt'owskich, jest on jednak o wiele radykalniejszy i sfery rządowe przyjęły jego nominację niechętnie.

Jego zamiary streszczają się w skrócie „Epic", co znaczy „End poverty in California", czyli: „położyć kres nędzy w Kalifornji".

Sinclair proponuje przejąć za cenę 300 miljonów dolarów fabryki i przedsiębiorstwa, zbankrutowane spowodu niemożności płacenia podatków, i zreorganizować je, aby zatrudnić bezrobotnych w stanie Kalifornja. Obliczył on, że w tym stanie przeszło 1.500.000 ludzi pobiera zasiłki i zapewniał, że o ile będzie gubernatorem, wszyscy staną się gospodarczo niezależni.

Upton Sinclair pokrył koszty swojej kampanji wyborczej z dochodów swojej książki „Ja, jako gubernator Kalifornji" i z biletów wstępu na swoje wiece polityczne.

„The Times", Londyn.

Upton Sinclair o faszyzmie

— Wulgarny demagog porywa władzę i wielki naród wpada w ręce gangsterów. — Oto, jak widzi Niemcy dzisiejsze Upton Sinclair, powieściopisarz - socjalista, a obecnie kandydat demokratów na gubernatora Kalifornji.

Po wyborach, w których wyniku został kandydatem na gubernatora większością 180.000 głosów, Upton Sinclair przez radjo zrobił przegląd polityki światowej, położył nacisk na rozwój dyktatur i przepowiedział rychły zmierzch kapitalizmu.

Faszyzm, to kapitalizm plus morderstwo. Widzimy, jak opanował Europę środkową i obawiam się, że tylko narody anglo-saskie i skandynawskie unikną go.

Robotnicy włoscy usiłowali zająć warsztaty pracy, lecz zamiast nich zdobyli Mussoliniego, popartego pożyczką z Wall Street.

Rozmawiałem kilka dni temu z pewnym pisarzem angielskim, który mi powiedział:

— To, co się dzieje w waszym ruchu, zadecyduje o przyszłości wszystkich narodów anglosaskich.

Może ktoś powiedzieć, że to jest twierdzenie zbyt krańcowe, lecz ludzie przeżywający przesilenie nie zdają sobie sprawy z tego, jak bardzo ono jest poważne. Dopiero przyszły historyk wykaże o jak wielki stawkę toczyła się gra.

„Daily Herald", Londyn.

Bez poufałości

W Stanach Zjednoczonych ciężar konfliktów robotniczych spoczywa na barkach kobiety, Miss Perkiss, która jest ministrem Pracy U.S.A.

Jest to kobieta o wyjątkowej surowości, zdolna pracować przez długie godziny bez potrzeby wyprostowania nóg, czy zaczerpnięcia świeżego powietrza.

Cieszy się specjalnemi względami prezydenta, ponieważ o każdej porze można ją dosięgnąć telefonem.

Miss Perkiss nienawidzi poufałości. Kiedy ją prezydent prosi do telefonu, żartem podaje zdrobniałe swoje imię. Mówi „Frank".

Miss Perkiss odpowiada niezmiennie:

— Nie znam nikogo, ktoby się tak nazywał.

„Literary Digest", New Jork.



Mama-ślimak do córeczki: — Nie pędź tak, jeszcze się wywrócisz.

„Vendemiare", Paryż.

OBLICZE PRZYSZŁEJ WOJNY

Artykuł niemieckiego autora jest o tyle ciekawy, że przeciwstawia się utartym poglądom na rolę lotnictwa, czołgów i gazów bojowych.

Wojna pozycyjna a ruchoma

Po ostatniej wojnie ustalił się pogląd o nieuniknionem zwycięstwie maszyny nad człowiekiem. Przewaga maszyny pomniejsza wartość materjału ludzkiego. Stąd — możliwość jednakowego technicznego zaopatrzenia stron walczących o nierównym stanie liczebnym armij. Wyłania się więc pojęcie równowagi uzbrojenia, co nieuchronnie pociąga za sobą konieczność długotrwałej wojny pozycyjnej. Tak głoszą zwolennicy teorji „wojny statycznej“.

Ostatnio teorja „wojny statycznej“ musiała ustąpić wobec teorji „wojny dynamicznej“. Dopiero umysł człowieka może opanować maszynę i uczynić z niej narzędzie zniszczenia, i dzięki pracy człowieka wojna ponownie stanie się ruchomą.

Dawne olbrzymie armje nie były w stanie szybko zwyciężyć, wojna przewlekała się niepomiernie długo. Obecnie powstało dążenie do zgoła odrębnej organizacji armji, aby uniknąć kilkuletniej walki pozycyjnej i przyśpieszyć przebieg wojny.

Ponownie odżyło pojęcie krótkotrwałej wojny ruchomej. W związku ze wspomnianem dążeniem rozwinęły się 2 kierunki.

Teorja „rewolucyjna“ wojny

Zwolennicy teorji „rewolucyjnej“ szukają nowych dróg i stoją na stanowisku bezwzględnej przewagi maszyny i nauki nad człowiekiem.

Nadmierne zaopatrzenie armji jest bezcelowe. Zasoby materjału wojennego szybko tracą swą wartość wobec postępu techniki.

Zamiast gromadzenia materjału wojennego należy ustawicznie szukać nowych środków o wielkiej sile działania. Muszą być stworzone: nowa technika i nowa taktyka.

Olbrzymie masy wojska tylko utrudniają wojnę ruchomą. Duże armje są niepotrzebne.

Lotnictwo

Zwolennicy teorji „rewolucyjnej“ głoszą, iż tylko lotnictwo będzie decydować o zwycięstwie.

Potężne lotnictwo zada cios samolotom nieprzyjacielskim i zniszczy siły lądowe wroga.

Na tyłach nieprzyjaciela będą zburzone ośrodki komunikacyjne i przemysłowe. Wśród ludności cywilnej bomby i gazy będą siały zniszczenie.

Gdy zburzone będą tyły nieprzyjaciela, wówczas flota napowietrzna napadnie na wojsko i zniszczy je całkowicie.

Lotnictwo jest ważniejsze od sił morskich. Samoloty będą unosić się nad drogami morskiemi, uniemożliwiając nieprzyjacielowi dowóz materjału wojennego.

Przyszłość zależy od lotnictwa!

Do kierunku „rewolucyjnego“ należą również zwolennicy czołgów, gazów bojowych i wojny bakterjologicznej.

Obsługa czołgów jest łatwiejsza niż obsługa samolotów. Czołgi, pokonywując przeszkody po drodze, rozwiązują zagadnienie szybkiego ruchu wojska, dzięki czemu mogą one wydatnie skrócić czas trwania wojny.

Główną bronią czołgów będą działa. Czołgi będą mogły rozwinąć atak gazowy, same zaś będą zabezpieczone przed żrącemi gazami bojowemi.

Wojsko zmotoryzowane będzie działać łącznie z siłami napowietrznemi. Piechota również będzie niezbędna, aby obsadzić zajęte tereny i zdobyć okolice niedostępne dla czołgów.

Teorja „ewolucyjna“ wojny

Zwolennicy teorji „ewolucyjnej“ hołdują dawnym zasadom walki, dążą jednak do nowych metod.

Wielką rolę przypisują oni sile liczebnej armji i uznają wyższość ducha ludzkiego nad maszyną.

Zdaniem ich decydować będzie początkowe zwycięstwo. Pierwszy dotkliwy cios należy zadać nieprzyjacielowi bez uprzedniego ogłoszenia wojny.

W tym celu w czasie pokoju ma być zorganizowana armja, silnie zmotoryzowana i dobrze zaopatrzona. Armja ta stale ma być w pogotowiu, aby w stosownej chwili niespodzianie pobić nieprzyjaciela. Wskutek tego można będzie wygrać na czasie, aby tymczasem przeprowadzić mobilizację na tyłach.

Nowe te metody walki nie cofają się przed największemi ofiarami, byle tylko uzyskać szybkość ruchu wojska.

Niedogodności wojny lotniczej

Liczni teoretycy wojskowi twierdzą, iż lotnictwo nie posiada znaczenia decydującego.

Niezmiernie trudno będzie jednolicie kierować tysiącami samolotów, dostarczać im potrzebnego materjału pędnego i amunicji.

Akcja samolotów zależna jest od pogody, zaś wywiad lotniczy nie zawsze może być dokładny. Lotnicy nie mogą ani zdobyć terenów, ani ich utrzymać.

Celność pocisków rzucanych z samolotów jest niewielka. Wreszcie walka lotnicza jest bardzo kosztowna.

Samoloty atakujące będą zmuszone przez artylerję przeciwlotniczą do wzniesienia się na większą wysokość, co ogromnie zmniejszy celność rzucanych pocisków.

Oddziały lekkich samolotów myśliwskich będą napadać na ciężkie samoloty nieprzyjacielskie, przeznaczone do rzucania bomb. Ogrodzenia powietrzne, reflektory i środki obrony cywilnej w znacznym stopniu zmniejszą niebezpieczeństwo ataku lotniczego.

Jeżeli chodzi o czołgi, to wielkie oddziały tego rodzaju broni łatwo są spostrzegane przez lotników. Często też czołgi podlegają uszkodzeniom.

Duży oddział czołgów będzie stracony, jeżeli nieprzyjaciel zmusi go do zatrzymania się i jeżeli nie będzie miał on zabezpieczonych tyłów. Większa motoryzacja armji jest niemożliwa z powodu niepomiernych kosztów i braku benzyny.

Wnioski

Słuszność mają zwolennicy teorji ewolucyjnej. Zasady walki zawsze pozostaną jednakowe, mogą jedynie zmieniać się metody walki w miarę rozwoju rodzajów broni.

Nauka i technika czynią wielkie postępy, lecz nie mogą zapobiec konieczności powołania pod broń całego narodu.

Małe armje należą do przeszłości.

Charakter przemysłowy przyszłej wojny jest niewątpliwy.

Duże znaczenie będzie miało lotnictwo, lecz decydować będą siły lądowe. Główny ciężar walki ponosić będzie jak dawniej piechota. Doniosłą rolę odgrywać będzie duch armji i narodu.

Naród, który chce zwyciężyć, musi odważnie spojrzeć na widmo wojny. Przewaga będzie po stronie siły ducha.

„Die Umschau“, Frankfurt n/M.



Najnowsze krążowniki amerykańskie: dziewięć dział, cztery samoloty.

Ojczyzna w słowniku sowieckim

W „Kąciku Propagandzisty“ bolszewickiej „Prawdy“ znajdujemy charakterystyczny dla dzisiejszych Sowietów artykuł „O ojczyźnie“.

Żadnych słów tak nie nadużywa burżuazja, jak słowa „ojczyzna“ i „kraj rodzinny“. W imię burżuazyjnej ojczyzny prowadzone są wojny imperjalistyczne. „Miłością dla ojczyzny“ maskuje się wyrafinowane otumanienie nacjonalistyczne mas pracujących.

Propaganda nacjonalistyczna burżuazji znajduje podatny grunt w nieświadomym patrjotyzmie drobnej burżuazji, i znacznej części włościaństwa.

W społeczeńswie kapitalistycznem chłop po swojemu przywiązany jest do miejsca, gdzie się urodził. Jego miłość do ziemi rodzinnej ma charakter ograniczony. Przemawia on do tyranów słowami Hermana Kriege, niemieckiego demokraty drobnomieszczańskiego z lat 40-tych.

Jest to moja chata,
Której wy nie budowaliście,
Jest to moje ognisko,
Którego ciepła wy mi zazdrościcie.

Marks i Engels uszczypliwie dodali do tych słów:

— Jest to kupa śmieci, stworzona przezemnie, moją żonę, moje dzieci, mego robotnika i moje bydło.

Będąc międzynarodowym na mocy swego stanowiska w społeczeństwie kapitalistycznem, będąc międzynarodowym z racji swojej świadomości klasowej, proletarjat nie może jednak być pozbawiony swojej narodowości.

W roku 1914, kiedy szalała szowinistyczna propaganda burżuazyjna, Lenin, atakując nielitościwie socjal-patrjotów Drugiej Międzynarodówki, pisał w artykule „O dumie narodowej Wielkorosjan“.

— Czy obce nam jest, wielkorosyjskim świadomym proletarjuszom uczucie dumy narodowej? Rozumie się, że nie. Kochamy swój język i swoją ojczyznę, my najwięcej pracujemy nad tem, ażeby jej masy pracujące (t. j. 9/10 całej jej ludności) podnieść do świadomego życia demokratów i socjalistów... Dumni jesteśmy z tego, że ta przemoc (carskich siepaczy) napotkała na opór naszego środowiska, środowiska Wielkorosjan, że to środowisko wydało z siebie Radiszczewa, dekabrystów, rewolucjonistów lat 70-ych, że wielkorosyjska klasa robotnicza w roku 1905 stworzyła potężną partję rewolucyjną mas, że wielkorosyjski chłop stał się demokratą i zaczął zrzucać z siebie popa i obszarnika.

Lenin kochał swój język, w tym języku miljony uczyły się socjalizmu i walki rewolucyjnej. Lenin kochał swoją ojczyznę, bo w tej ojczyźnie rozwinął się potężny ruch przeciw kapitalizmowi. Lenin odczuwał dumę narodową spowodu tego, że właśnie proletarjatowi rosyjskiemu przypadł w udziale zaszczyt być pierwszym bojownikiem w międzynarodowej rewolucyjnej walce proletarjatu przeciw imperjalizmowi. Proletarjatowi byłej Rosji carskiej udało się pierwszemu na kuli ziemskiej skończyć ze swoją własną burżuazją, utworzyć państwo proletarjackie i dać miljonom pracującym własną ich ojczyznę.

— Obecnie jesteśmy zwolennikami obrony, od 7 listopada 1917 r. — pisał Lenin w roku 1918 — jesteśmy za wojną obronną ojczyzny.

W tej obronie ojczyzny przez ludzi pracy nie było i niema nacjonalizmu. Wręcz przeciwnie, miłość do ojczyzny, obrona jej przed imperjalistami, przed kontrrewolucją jest obowiązkiem międzynarodowym całego proletarjatu.

Od czasu wojny domowej upłynęło przeszło dziesięć lat. Związek Sowiecki wzmocnił się w nieustannej walce, ale jak dawniej ma przeciwko sobie wrogi świat kapitalistyczny. Obrona Związku Sowieckiego jest pierwszym i najświętszym obowiązkiem pracujących.

Głęboko się zmieniło oblicze całego kraju sowieckiego. Stara epoka kapitalistyczna coraz więcej zanika i nowe społeczeństwo powstaje na gruzach dawnego. Oglądając się naokoło siebie, robotnik widzi wielkie dzieło rąk własnych. Widzi on bogactwo swojej ojczyzny, która należy do pracujących, — tylko do nich. Widzi on, jak kwitnie kraj. I uczucie głębokiej dumy z ojczyzny, uczucie gorącej miłości do niej ogarnia masy.

Socjalizm zwraca pracującym dzieciństwo, zrabowane przez kapitalizm. Dziecko sowieckie wyrasta w miłości do swoich miejsc rodzinnych, gdzie wyrosło i rozwijało się, do szkoły rodzinnej, gdzie się uczyło, do własnej rodziny, w której nowe stosunki socjalistyczne zamieniły patrjarchalną dzikość. Rodzinną dla robotnika sowieckiego jest jego fabryka, rodzina — społeczność, rodzinną — partja Lenina-Stalina.

Chłopskie drobnomieszczańskie przywiązanie do *mojej* chaty, do *mojej* kupy śmieci coraz bardziej usuwa się w przeszłość. Przywiązanie do *naszej* fermy kołchoznej, do *naszego* pola kołchoznego, do *naszej* pracy kolektywnej, — oto co określa świadomość masy włościaństwa.

Ojczyste fabryki, ojczyste kopalnie, ojczyste kołchozy, język ojczysty, kultura ojczysta, władza ojczysta, ojczysta Armja Czerwona, ojczysta partja komunistyczna, a wogóle *kraj ojczysty*, wielka ojczyzna i dla niej miłość bezgraniczna, gotowość obrony ofiarnej — oto pierwszy i święty obowiązek każdego pracującego.

„Prawda“, Moskwa.

DWADZIEŚCIA LAT TEMU... NAD MARNĄ

Wspomnienia adjutanta zwycięskiego gen. Gallieni

Mija właśnie dwadzieścia lat od chwili, kiedy Paryż wcale nie zdawał sobie sprawy z ogromu niebezpieczeństwa, jakie nad nim wisiało. Prosiliśmy b. adjutanta gen. Gallieni, pana Ghensi, aby zechciał skreślić nam wspomnienia tych niezapomnianych chwil, od których zależało ocalenie ojczyzny.

Pogoda piękna. Eleganckie dzielnice Paryża są puste. Między Obeliskiem a Łukiem Triumfalnym nie widać ani jednego przechodnia. Auta wojskowe przejeżdżają z głuchym łoskotem, ale z żadnego z nich nie powiewają białe welony sanitarjuszek, jak przed trzema tygodniami.

A jednak stolica, miejscami wyludniona, przeżywała gdzieindziej gorączkowe chwile. Naogół paryżanie nie wiedzieli nic i byli skłonni wierzyć każdej, nawet najbardziej fantastycznej pogłosce. Przychodzili naprzykład do kwatery głównodowodzącego i pytali, czy to prawda, że dwanaście bomb rozniosło w proch cały pułk nieprzyjacielski, że nocna ochrona miasta przeciw słynnym „Taube" została zapewniona siecią drutów stalowych, rozwieszonych na niebie przez lotne balony..., że pięćdziesiąt tysięcy japończyków wylądowało w Hawrze... i inne tym podobne bzdury.

Gallieni, zatrzymywany w przejściu przez osobistości z świata politycznego, zachowywał stale zagadkowy wyraz twarzy, a po zamknięciu drzwi zaklinał nas, byśmy mu zaoszczędzili tych pogłosek i pytań, mogących doprowadzić do rozpaczy nawet świętego. Wraz z pułkownikiem Girodon, siedział stale pochylony nad mapą, przedstawiającą pole bitwy, i jasnemi oczyma, z których biło potężne światło nadziei i pewności, śledził krok za krokiem ruchy szóstej armji.

Żyliśmy w ustawicznej niepewności. Nie spaliśmy wcale. Pożywienie nasze stanowiły sandwicze i czekolada. Przez cały dzień i noc ustawicznie szły sprawozdania i raporty między kwaterami generałów i liceum Durny.

Pewnego dnia szef zwrócił się do nas:

— Odpocznijcie dziś trzy godziny. Idźcie zjeść coś... do miasta. Ale ani słowa o tem co się tu dzieje! Wrócicie do mnie o piątej, będziemy u Maunoury.

Poszedłem na śniadanie do Petit Palais, do Lapauze'a, nie wiedząc o tem, że zastanę u niego dyrektorów paryskich dzienników. Był tam Artur Meyer, Adolf Brisson, Berthoulat, Leon Bailby, i kilku innych. Chciałem się cofnąć, ponieważ unikaliśmy niedyskretnych dziennikarzy. Zatrzymali mnie prawie siłą, obiecując solennie o nic nie pytać.

— Ależ ja nic nie wiem! Nic się nie dzieje! — krzyczałem z całych sił.

— Oczy wasze przeczą słowom, — rzekł mi na to z uśmiechem generał Bonnat.

— Wobec tego, idę...

A jednak musiałem zostać. Jakie było to śniadanie łatwo zgadnąć: istna tortura dla mnie, cała masa niespokojnych przypuszczeń dla innych. Co wieczór z wysokości Montmartre'u śledzili dalekie odgłosy strzelaniny armatniej, niewyraźne błyski w powietrzu: pożary w Ourcq i nad Marną. Nie mogąc znieść dłużej niepewności, rozpaczy i próśb moich przyjaciół, powiedziałem im na odchodnem:

— O jednem mogę was zapewnić. Trzeba wierzyć! Sądzę, że już jutro będę mógł podzielić się z wami dobrą nowiną. Ale Paryż jeszcze nie jest ocalony. W tej chwili pracuje się nad tem...

Nazajutrz powracając z Etrépilly, Peuchard i Lizy-sur-Ourcq, przed wysłaniem wiadomości telefonicznej do Bordeaux, zwróciłem się wprost do Lapauze'a:

— Zbierz tych przyjaciół, którzy byli tu wczoraj ze mną. Powiedz im, że Paryż jest ocalony: Von Klück cofa się na całej linji

— Bah! — odpowiedział jeszcze wciąż urażony. — wiedzieliśmy o tem wczoraj

— Jakto? Wczoraj, mówisz?! Kim był ten szaleniec...

— Ty sam. Nie powiedziałeś wprawdzie nic. Ale twoja twarz zdradziła nadzieje, a kiedy wymieniłeś nazwisko Gallieni'ego, brzmiało ono jak pewność zwycięstwa... No i zrozumieliśmy.

Zadrżałem, słysząc te słowa i żałowałem prawie, że poszedłem do Petit Palais: coby się stało, gdybyśmy byli pokonani!..

Po odniesionem zwycięstwie Briand i Sembat wybrali się do nas w odwiedziny. Clemenceau napisał w l'Homme Enchainé, że przygotowywaliśmy w Paryżu komunę, że Doumer, ja, Morny i Persigny postanowiliśmy osadzić Gallieni'ego w Pałacu Elizejskim, aby uniemożliwić powrót rządu z Bordeaux! Nasz szef był jak zwykle zrównoważony i zajęty pracą. Myśmy jednak byli podnieceni jego zwycięstwem, i sprawiało mi szczególną przyjemność, iż mogłem drwić z tych wysłanników rządu:

— Dalibóg, mówiłem, po przeczytaniu śmiesznego artykułu Tygrysa, przyjechaliście tu, aby na miejscu zebrać informacje. Ale widzę, że jesteście niebardzo roztropni. Bo jeżeli my naprawdę spiskujemy, to ja was nie ocalę. Gallieni kazał rozstrzelać na Madagaskarze dwu ministrów, którzy sądzili, że go usadzą... Na waszem miejscu, wróciłbym natychmiast do Bordeaux, nie czekając nawet przyjęcia u gubernatora.

Na to zaśmiał się Sembat, a Briand, wyjmując z ust swój wieczny papieros, odpowiedział mi:

— Nie blaguj pan... Są w Bordeaux tacy, coby w to uwierzyli. Oni wogóle boją się waszego Gallieni'ego. Mają rację: nasz szef jest zdolny do wszystkiego, nawet do ocalenia ojczyzny!

Byli na śniadaniu u mnie wraz z Gallieni'm i stwierdzili, że jest zbyt pesymistycznie usposobiony.

— Więc przypuszcza pan, że niemcy mogą zawrócić jeszcze raz na Paryż?

— Oczywiście, — odparł Gallieni. Pójdźcie dziś popołudniu obejrzeć pole bitwy. Zobaczycie, że zabezpieczono się mocno, przeciw ponownej ofensywie wroga, jeśli, czego najwięcej obawiam się, uda się im zebrać niedobitki.

W pobliżu farmy Nogeou, Sembat i Briand stanęli milczący i bezradni. Ścieżki tego zakątka były zawalone trupami naszych żołnierzy, których nie zdążono jeszcze pogrzebać.

— Jak oni śpią! — szepnął Briand, wysiadając z auta

— Oni nie śpią. To są trupy.

Obaj ministrowie podeszli bliżej — my za nimi.

— Wojska kolonjalne, — rzekł jeden z nich.

— Gdzie?

— Ot tam... czarni, — szepnął Briand, drżąc ze wzruszenia i blady w obliczu tych pierwszych trupów.

— Bynajmniej! To są nasi, zdziesiątkowani przez karabiny maszynowe.

W jesiennem słońcu oblicza ich stały się czarne.. Briand zachwiał się. Musieliśmy go podtrzymywać. Siedział milczący w drodze powrotnej. Jego drżące ręce świadczyły o sile wzruszenia. Sembat nas prosił, byśmy zwolnili bieg auta. Ale nasi kochani mistrzowie szybkiej jazdy, przyzwyczaili nas w przeciągu dwu tygodni do szalonej szybkości: w służbie u Gallieni'ego trzeba było wszystko wykonywać prędko.

— Gdyby mi powiedziano w Bordeaux, — zwierzał mi się Briand, — że ktoś z was został zabity, przypuszczałbym napewno, że stało się to podczas jazdy automobilem, gdzieindziej nie mają pojęcia o takiej szybkości.

— To są doskonałe Mercedes, wozy niemieckie, które zdobyliśmy na Klücku.

Gallieni był znakomitym żołnierzem. Ale był także wytrawnym dyplomatą. W Sudanie zwycięzca Ahmadon'a, w Tonkinie oko w oko z marszałkiem Soû, na Madagaskarze wśród podstępnych wrogów, najczęściej europejskich, prowadził wielką grę dyplomatyczną i zapewnił Francji niespodziane wprost korzyści. Ale wszystkie trudności jego poprzednich wyczynów, były niczem w porównaniu z temi, jakie musiał przezwyciężyć w Paryżu w G. U. P. Sytuacja jego między generalissimusem, którego sam wyniósł na to stanowisko, a rządem, zirytowanym przymusowym pobytem w Bordeaux, była nie do zniesienia. Ustawiczne sprzeczności w działaniu, zazdrości, rywalizacje, a nadewszystko brudne intrygi polityczne.

Historja pewnie może, że inwazja niemiecka stworzyła u nas „union sacrée". Nic podobnego. Mam na to sto dowodów, które będą ogłoszone dopiero po śmierci wszystkich zainteresowanych. Na szczęście Gallieni miał przy sobie ludzi oddanych. Nie wszyscy z nich żyli w zgodzie między sobą, ale jeśli chodziło o osobę szefa, tworzyli natychmiast zwarty mur, ten słynny „front commun", o którym mówi się dzisiaj tyle. Oddany wyłącznie trudnej pracy wojskowej, Gallieni według zarzutów rządu, był gotów na wszystko.

Każdy z jego oficerów musiał znosić często zły humor przełożonego — jeden z nich został skazany na czternaście dni aresztu, za to, że pozwolił jakiemuś ministrowi włoskiemu, czy nawet samemu Clemenceau badać front francuski. Oficerowie Gallieni'ego znali tylko swego wodza i słuchali tylko jego rozkazów, zresztą zawsze rozumnych i mających za jedyny cel uwolnienie ziemi francuskiej od wroga.

Na wszystkie zarzuty, które doprowadzały do rozpaczy jego ludzi, odpowiadał spokojnie:

— Cicho! poprawimy to wszystko po wojnie!..

Przed końcem batalji nad Marną, wyszedł ostry rozkaz z Głównej Komendy: „nie wysyłać do rządu żadnych informacyj, dotyczących podjętych operacyj wojennych. W przeciwnym razie, brzmiała depesza, doręczone w tajemnicy wszystkim oficerom, pewne nasze przedsięwzięcia mogą dojść do wiadomości wroga w czasie najbardziej dla niego odpowiednim...

Oficer, który informował telefonicznie Radę Ministrów w Bordeaux o sytuacji, nie przestawał jednak podawać im dokładnych i prawdziwych szczegółów. Był nawet zdania, że należy donieść o ostatnim rozporządzeniu, tak poniżającem dla niektórych ministrów.

— Zabraniam wam kategorycznie! — rzekł Gallieni i schował dokument w swojej szufladzie.

„Les Annales", Paryż.

WAKACJE NOWOCZESNEGO PAPIEŻA

W Castel-Gandolfo, gdzie przez dwa wieki przebywali papieże i królowie, zaczyna się dziś nowe życie.

Oto długa, wąska ulica, gdzie po obu stronach siedzą na progach leniwi mieszkańcy; przy końcu ulicy plac, z fontanną, platanami, kawiarniami i samochodami. Cóż tu robią ci dwaj ludzie przed bramą z herbami papieskiemi, wyglądający, jak uciekinierzy z bitwy za czasów Renesansu: w bufiastych spodniach, w płóciennych getrach oraz w beretach? To są szwajcarzy gwardji Watykańskiej. Papież wypoczywa w swej rezydencji „Castelli Romani", otoczony niewielką ilością dworzan — zaledwie czterech gwardzistów — szlachciców, kilku służących. Mówią, że Jego Świętobliwość tak znakomicie się tam czuje, że ma zamiar pozostać w Castel-Gandolfo do połowy września.

Co za przedziwny kontrast między tym wiejskim krajobrazem z 20-go wieku i tymi dwoma osobnikami, dzierżącymi średniowieczne halabardy. Gdyby nie oni i gdyby nie szum potężnych samochodów z inicjałami SCV (Kościelne Państwo Watykanu), wypadających z bramy, nikt by się nie domyślił, że w to senne, gorące popołudnie rzymskie, najwyższy dostojnik chrześcijaństwa oddzielony jest od przechodniów Castel-Gandolfo grubością ściany domu...

Ileż pracy włożono w ciągu 5-u lat, aby przerobić ponury zamek Urbana VIII Barberini! Olbrzymi most łączy obecnie śliczne wille Cybo i Barberini. Park tej ostatniej jest czemś zupełnie czarodziejskiem Stworzony na ruinach cesarskiego pałacu, rozrasta się tarasami, panującemi nad równiną, aż hen do morza.

Dyrektor robót w Castel-Gandolfo, sympatyczny pan Bonomelli oprowadza nas po posiadłości, zajmującej przeszło 15 klm. kw., w oczekiwaniu na przyjęcie Papieża, który codziennie o 4.30 po południu przejeżdża autem przez park. Signor Bonomelli opowiada nam o zainteresowaniu Ojca Świętego nową posiadłością:



Papież ukazuje się na balkonie pałacu w Castel-Gandolfo.

— Widuję Papieża prawie codziennie. Wysiada zwykle ze swego otwartego samochodu z zaufanym służącym, aby osobiście wszystkiego dopatrzyć, wszystko omówić, jak to jest w Jego zwyczaju. Ale najbardziej pasjonuje się urządzeniami rolniczemi. To Mu przypomina lata młodości w rodzinnej wiosce Desio, oraz okres, gdy jako młody bibljotekarz Ambrozji, zajmował się również folwarkiem pewnego zakonu religijnego.

Poza codziennym spacerem po ogrodach, życie Papieża w niczem nie różni się od trybu życia w Watykanie. Jego Świętobliwość sypia niewiele, pracuje bez przerwy, przyjmuje i udziela audjencyj. Trzy razy w tygodniu autokary przywożą setki młodych małżeństw, proszących o błogosławieństwo. Religijne instytucje międzynarodowe, zainstalowane wokół Castel-Gandolfo, składają Papieżowi wizyty. Któregoś dnia przybyli pielgrzymi z Ziemi Świętej. Nuncjusz z Belgradu opuszcza właśnie apartamenty papieskie...

Kończymy obchód posiadłości zwiedzeniem słynnej farmy, o której mówi cała Italja. Kury „orpington" i z Livorno dziobią dookoła pięknych kurników, ozdobionych freskami, gdzie złożą jajka, z których każde będzie zapisane w specjalnym katalogu. Obora z ścianami z jasno-błękitnej emalji sprawia wrażenie pokoju kąpielowego. Wspaniałe, czyste krowy szwajcarskie piją, zanurzając mordę w coś, co przypomina automatyczne wodotryski.

Gdy Pius IX opuszczał po raz ostatni powozem Castel Gandolfo, nie przypuszczał zapewne, że po 65 latach jeden z jego następców zainstaluje się znowu w starożytnej rezydencji Urbana VIII, skąd będzie przemawiał do świata poprzez fale eteru i skąd oświetli, naciskając guzik, posąg Dziewicy, oddalony o setki kilometrów.

„Les Annales", Paryż.

PRAWDZIWE OBLICZE

Tajemnica powodzenia

Japonja jest zagadką dla świata nowoczesnego. Nerwowi politycy przepowiadają jej triumf na Pacyfiku, ujarzmienie całej Azji przez armję japońską, oraz zagładę trzech kontynentów wskutek ataku japońskich samolotów.

Zmodernizowana pod względem uzbrojenia i metod handlowych, żywi Japonja nadal feudalną, namiętną cześć dla dynastji cesarskiej, panującej od 2494 lat.

Kiedy byłam w Japonji po raz pierwszy, jakaś wysoko postawiona osobistość z błahego powodu postanowiła zabić się przed ołtarzem swych przodków i zaprosiła wszystkich zagranicznych attachés wojskowych na świadków tego czynu. W ich obecności, siedząc na czerwonym dywanie, dygnitarz wbił sobie w brzuch miecz, przeznaczony specjalnie na tę ceremonję, poczem bez najlżejszego drgnięcia poważnej i namaszczonej twarzy szarpnął nim silnie, celem ostatecznego dokonania obrzędu harakiri.

Podobna obojętność wobec cierpienia i śmierci jest w Japonji zjawiskiem powszechnem, ale ten kraj wyspiarski, jako przedmurze bolszewizmu na Dalekim Wschodzie, chętnie prowadziłby wojnę jedynie z komunistami chińskimi i sowieckimi. Pozatem Japonja chce pokoju. Jeżeli Ameryka nie wycofa się z wysp Filipińskich, może to się stać przyczyną tarć obu wielkich mocarstw na Pacyfiku.

Japonja jest oskarżana o akcję „dumpingową" dlatego, że potrafiła wyzyskać konjunkturę, produkując tanie artykuły, znajdujące w całym świecie łatwy zbyt, bez względu na ich jakość. Stalowe samochody japońskie sprzedawane są w Indjach po 50 funtów. Wieczne pióra ze stalówką z syntetycznego złota można dostać w Londynie po... 3 pensy; japońskie papierowe zabawki wiszą w Niemczech na Boże Narodzenie na wszystkich choinkach; ich kosmetyki zyskały sobie wielką popularność w Ameryce.

Wartość japońskiego yena obniżyła się jeszcze bardziej aniżeli funta szterlinga, co oczywiście ożywiło znacznie handel zagraniczny.

Pracują, ale nie jedzą

Japonja nie zawdzięcza swego powodzenia warunkom ekonomicznym, ale raczej zaletom rasy, która zaczyna przodować całemu światu. Albowiem japończycy wkładają w pracę gorący entuzjazm, który anglicy poświęcają sportom, rosjanie polityce, niemcy paradom wojskowym, a południowcy miłości.

Skoro dziecko japońskie jest natyle silne, że może udźwignąć grabie, idzie ono wraz z całą rodziną w pole. Od wschodu do zachodu słońca cała wieś jest opustoszała: mężczyźni, kobiety i dzieci pracują w polu. Przed wyjściem, o świcie, pokrzepiają się małemi filiżankami gorącej wody, w której pływa kilka listków herbaty. W południe przerywają pracę, aby zjeść garść ryżu, wieczorem jedzą znowu ryż, czasami twaróg lub duszony czerwony bób. Mięso, mleko i masło są nieznane i tylko w święta, oprócz zwykłej codziennej strawy, ukazują się białe, małe ciastka o nieokreślonym smaku.

Mieszkania bez mebli

Domki są nieskazitelnie czyste, ale zupełnie nieumeblowane. Podłogi pokryte są matami zwijanemi i chowanemi we dni, w nocy zaś służącemi jako łóżka. Mieszkańcy wsi myją się w najbliższym strumieniu, i kąpią się w gorących źródłach, gdzie mężczyzni i kobiety siedzą tak długo, aż skóra ich staje się szkarłatna, poczem nago, z okryciem pod pachą biegną do domów.

Japończycy są przyzwyczajeni do dyscypliny, wynikającej z nauki Shinto, nakazującej bezwzględne posłuszeństwo dla rodziców oraz wszelkiej władzy. Zarówno między płcią, jak i generacjami niema równości. Dzieci pozdrawiają rodziców swych głębokiemi ukłonami, żony zaś w ten sam sposób witają swych mężów.

Od przeszło dwuch tysięcy lat panuje w Japonji ta sama dynastja i cały ten czas żołnierze japońscy oddawali z radością swą krew dla chwały Ojczyzny. Z tem samem bohaterstwem kobieta japońska, otoczona krewnemi, rodzi dziecko, nie wydając ani jednego jęku, przeciwnie, uśmiech nie schodzi z jej twarzy, jak tego nakazuje grzeczność i tradycja.

Ten uśmiech, nie opuszczający japończyków nawet w najcięższych chwilach, jest niejako ich emblematem. Robotnicy z uśmiechem idą do fabryk i przędzalni, zmodernizowanych ostatnio na sposób angielski.

Uśmiech w fabryce

Podczas gdy angielski robotnik uważa, że życie jego rozpoczyna się z chwilą, gdy opuszcza fabrykę, feudalny japończyk i rosyjski socjalista znajdują wszystko, co mogłoby ich zainteresować, na terenie zakładów przemysłowych, gdzie pracują. Może on tam się uczyć, uprawiać sporty, dokształcać technicznie i t. p. Wielkie przędzalnie w Japonji mają własne szpitale, fryzjerów, czytelnie i sale wypoczynkowe, własne place tenisowe i baseball'owe, sale gimnastyczne, gdzie robotnicy trenują dżudżitsu, własne bezpłatne kinematografy.

W obrębie fabryki znajdują się liczne sklepy, gdzie robotnik może nabyć wachlarze, kimona, oliwę do włosów, kosmetyki — wszystko po cenie niższej, niż na rynku. W przędzalniach bawełny nieletnie dzieci robotnic przebywają w wielkich, doskonale wentylowanych salach, zaopatrzonych zimą w centralne ogrzewanie, gdzie śpią na miękkich, watowanych kołdrach, ułożonych na matach. Otrzymują one pożywienie za pół ceny z ogólnej kuchni i jedzą na polerowanych, czystych stołach wysokości 10 stóp, w pięknych białych jadalniach o wielkich oknach, gdzie zamiast szyb jest papier.

Trudno porównać system płac w Anglji i w Japonji. Naprzykład, najlepiej płatny robotnik-metalowiec w Tokjo otrzymuje w przybliżeniu 35—56 yen tygodniowo, co przy obecnym spadku kursu wynosi około zł. 60, ale wynagrodzenie to ma tę samą siłę nabywczą, jak wówczas, gdy yen kosztował o wiele więcej. Najgorzej płatna niewykwalifikowana robotnica w przędzalniach bawełny w wieku 14 lat otrzymuje mniejwięcej 5 yen tygodniowo, blisko 8 zł.

Suma ta jeszcze nie przedstawia sobą całego wynagrodzenia, jakie otrzymuje przybyła ze wsi dziewczyna, nie mając o niczem pojęcia.

Fabryka daje jej mieszkanie, ubranie, kształci ją, leczy, nawet czesze za darmo, pozwala uprawiać najrozmaitsze gry, wszystko to zupełnie bezpłatnie, a przytem płaci ona pół ceny za swe pożywienie.

Według nowej ustawy, kobiety mogą pracować tylko 8½ godziny dziennie, przyczem w nocy nie wolno im pracować; większość przędzalni wprowadziła obecnie pracę na dwie zmiany: od 5 rano do 11-ej w nocy. Ale w niektórych zakładach mężczyźni pracują ponad 12 godzin na dobę i nie mieliby nic przeciwko płatnym godzinom nadliczbowym. Japończyk urodził się po to, aby pracować — jest to dla niego kwestją życia. Pracy swojej oddaje się całem sercem, a gdy się bawi, czyni to z niemniejszym zapałem.

„Time and Tide", Londyn.



Głodówka dwustu robotników, zwolnionych z wielkiej farbiarni włókienniczej, której nie opuszczają od kilkunastu dni.

Machinacje niemieckie w Japonji

Rząd niemiecki, który dzięki swej polityce zagranicznej znalazł się w poważnych trudnościach wobec całego niemal świata, w swem osamotnieniu pragnie za wszelką cenę zjednać sobie przyjaciół. Nienawiść Niemiec do Rosji Sowieckiej pozwoliła im nawiązać przyjacielskie stosunki na drugim końcu świata z Japonją. Oczywiście Japonja w swej nieubłaganej walce ekonomicznej przeciwko całemu światu, nie robi wyjątku dla Niemiec i zawładnęła, dzięki dumpingowi, rynkami, na których dotychczas panowali niepodzielnie Niemcy, ale podobne „drobiazgi" nie mogą zmniejszyć sympatji „nazich" dla państwa Mikada.

Instruktorzy Japonji

Kolegjum Dalekiego Wschodu jest wydziałem Uniwersytetu Berlińskiego. Dawniej, Kolegjum zadawalało się nauczaniem języków wschodnioazjatyckich. Dzisiaj, katedra ta jest poświęcona propagandzie hitleryzmu na Dalekim Wschodzie. Ostatnio liczba studentów, którzy studjują tam język japoński, znacznie się powiększyła. Niemcy chcą, dzięki swej wiedzy, opanować Japonję

Podczas, gdy ogół młodzieży uniwersyteckiej nie może prawie zupełnie liczyć na otrzymanie w przyszłości stanowiska, młodzi ludzie, którzy uczą się japońskiego, mają zgóry zapewnione posady. Z chwilą, gdy zapoznali się z pierwszemi zasadami alfabetu japońskiego, otrzymują natychmiast stałe kontrakty.

W jakim celu oficerowie Reichswehry uczą się japońskiego? Poco lotnicy uczą się japońskiego? Oczywiście do Kolegjum przychodzą w ubraniach cywilnych!

Otóż podobno wykwalifikowani inżynierowie i lotnicy-piloci, mimo kryzysu ekonomicznego, wysyłani są przez rząd niemiecki wprost do Krainy Wschodzącego Słońca. Japonja zdaje sobie sprawę, że lotnictwo sowieckie jest bez porównania silniejsze, niż ich własne. Japończyk nie jest dobrym lotnikiem. Niemcy będą więc ich instruktorami.

W Kolegjum Dalekiego Wschodu uważają powszechnie, że wojna sowiecko-japońska jest sprawą przesądzoną. Studenci japońscy i niemieccy uważają się za sprzymierzeńców i przeprowadzają na mapach sztabu generalnego zwycięskie bitwy. Studenci japońscy przyjmowani są na zebraniach hitlerowców z otwartemi ramionami i są to jedyni studenci cudzoziemscy, którzy sympatyzują z tym oryginalnym ustrojem, potępionym przez wszystkie narody cywilizowane. Należy tu podkreślić, że liczba studentów japońskich w III-ej Rzeszy znacznie wzrosła, w przeciwieństwie do ilości studentów innych narodowości.

„Mein Kampf" po japońsku

Japończycy pilnie studjują narodowy socjalizm. Kanclerz Hitler, który nie chce zezwolić na przetłumaczenie na francuski swej słynnej książki „Mein Kampf" (Moja walka), z przyjemnością udzielił swej aprobaty na przetłumaczenie jej na język japoński. Pracę tę powierzono oczywiście Kolegjum Uniwersyteckiemu.

Sprawa rasy jest w niej omawiana bardzo powierzchownie, gdyż w roku ubiegłym powstał na ten temat poważny konflikt między Japonją i Niemcami. Wkrótce po dojściu Hitlera do władzy, rząd Mikada wniósł ostry protest za pośrednictwem swej ambasady w Berlinie, przeciwko niemieckiemu nauczaniu rasowemu, które uważa japończyków za niższą rasę. Ale minister propagandy Goebbels porozumiał się z profesorem nauk etnicznych, który, naskutek otrzymanego rozkazu dowiódł naukowo, że rasa japońska może się poszczycić znaczną domieszką krwi aryjskiej, wobec czego japończyk jest pokrewny etnicznie Germanom i musi znajdować się na tym samym poziomie rasowym.

Metysi germano-japońscy są czystej rasy

Ambasador japoński przyjął z zadowoleniem wyjaśnienie rządu hitlerowskiego i na tem zakończył się przykry incydent dyplomatyczny.

Ta oryginalna teorja rasy stała się potem przyczyną niezwykłych wyroków sądowych. Pewien niemiec, ożeniony z japonką, zażądał rozwodu, gdyż syna jego nie chciano przyjąć w poczet młodzieży hitlerowskiej, jako metysa. W pierwszej instancji wywody jego uznano za słuszne. Natomiast w apelacji powołano się na dzieło profesora, aby ustalić, że w danym wypadku nie może być mowy o metysie, wobec czego małżeństwo nie może być unieważnione Sfery miarodajne wywarły nacisk na kierownictwo młodzieży hitlerowskiej, i syn japonki i niemca został wcielony do grupy, jako aryjczyk czystej krwi.

Kolegjum Dalekiego Wschodu jest często odwiedzane przez młodych dziennikarzy. Niemieckie Biuro Informacyjne kształci tam specjalistów, którzy następnie wyjeżdżają w charakterze korespondentów do Japonji, ale zwłaszcza do Mandżurji i Charbina.

Wiadomo, że w Charbinie znajduje się liczna kolonja białogwardzistów, którzy rozsiewają najohydniejsze pogłoski o okrucieństwach Sowietów, przyczem władze japońskie ustosunkowują się z całą życzliwością do tych kłamliwych wiadomości. Ponieważ jest rzeczą niezmiernie trudną sprawdzić wiadomości, nadeszłe z tak odległych stron, zdarza się często, że wiele z tych fałszywych informacyj dostaje się na łamy prasy światowej.

Goebbels dopatrzył się w tem wdzięcznego pola działania. Pewnym grupom hitlerowców udało się wejść w kontakt z białogwardzistami z Charbina, poczem Niemieckie Biuro Informacyjne wysłało tam kilku najsprytniejszych korespondentów. Niemiecki minister propagandy może więc rozpowszechniać w prasie światowej via Charbin wiadomości, które uważa za wskazane i które dotyczą kwestyj sowieckich, przyczem nikt nie może podejrzewać, że Niemcy odgrywają jakąś rolę w sprawach Dalekiego Wschodu. W ten sposób w gazetach niemieckich ukazują się często wiadomości z Z. S. R. R., które są w dobrej wierze przedrukowywane przez dzienniki zagraniczne.

Policja berlińska śledzi japończyków

W Niemczech znajduje się wielu japończyków, zwłaszcza koreańczyków, którzy opuścili swą ojczyznę z nienawiści dla rządu japońskiego. Ponieważ większość koreańczyków nie chciała dotychczas uznać rządów Japonji, znaleźli się w Berlinie polityce koreańscy, którzy pracowali tutaj nad oswobodzeniem ojczyzny.

Policja polityczna III-ej Rzeszy, alarmowana przez ambasadę japońską, rozciągnęła ścisły nadzór nad pensjonatami i restauracjami japońskiemi. Przeprowadzone rewizje dały policji niemieckiej sporo materjału propagandowego. Agenci japońscy otrzymali oficjalne pozwolenie na zbadanie tych dokumentów. Koreańczycy zostali wydaleni z Niemiec Władze niemieckie oczekują przy najbliższej okazji wdzięczności japończyków za wyświadczoną przysługę.

„Berlingske Tidende", Kopenhaga.

JAPONJI DZISIEJSZEJ

Królewska władza prasy japońskiej

— Halo! Mochi! mochi! Rikugunsho? Czy mogę mówić z pułkownikiem Suzuki, szefem wydziału prasowego ministerstwa wojny?

Kilka chwil wyczekiwania i wreszcie słyszę przez telefon głos pułkownika, który pyta po angielsku, czem mógłby mi służyć.

— Panie pułkowniku, dzienniki napadają na Sowiety i zarzucają im, że sfałszowały wszystkie dokumenty, dotyczące raportu Hishikari i konsula japońskiego w Charbinie p. Morissima. Równocześnie cała wasza prasa podaje oświadczenie generała Araki, w którem minister wojny uważa konflikt za nieunikniony. Jakie jest pańskie zdanie w tej sprawie?

— Generał Araki nie mógł złożyć takiego oświadczenia, — odpowiada mi kategorycznie pułkownik Suzuki. — To wymysł prasy!

— Więc niech pan zdementuje!

— Dementować? Poco?! Dzienniki i tak nie zamieszczą.

— Halo! Mochi! mochi! Kaigunsho? Można prosić kapitana Iwamura, z wydziału prasowego ministerstwa marynarki? Halo! kapitanie, gazety ogłosiły deklarację admirała Osumi, z której wynika, że Japonja zażądała kategorycznie równouprawnienia w zbrojeniach morskich z Anglją i Stanami Zjednoczonemi! Czy może pan to potwierdzić?

— Kategorycznie zaprzeczam tej wiadomości! Japonja jeszcze nie zajęła zdecydowanego stanowiska w tej sprawie!

— Halo! Mochi! mochi! Gaimusho? Pan Amau, dyrektor biura informacyjnego i propagandy? Dzienniki zapowiadają bliskie zerwanie stosunków dyplomatycznych między Japonją i Rosją Sowiecką. Czy może pan potwierdzić tę wiadomość?

— Nic podobnego! — słyszę przez telefon. — Ministerstwo spraw zagranicznych bada obecnie wytworzoną sytuację, ale dotychczas nie powzięło żadnej decyzji. Co się mnie tyczy, uważam tę wiadomość conajmniej za przedwczesną.

I tak stale, ilekroć zwracam się do któregoś ministerstwa, słyszę tę samą odpowiedź.

— Dementujemy jaknajkategoryczniej!

To też dziennikarz zagraniczny zmuszony jest rozpatrywać niejako dwie różne prawdy, jedną dla użytku wewnętrznego, drugą dla zewnętrznego, albo uważać większość wiadomości prasy japońskiej za zwykłe „kaczki", czyli tak zw. próbne balony.

Nie liczą się niczem

Zajrzyjmy do wnętrza redakcji pisma japońskiego. Oto mój przyjaciel Wada, wicedyrektor działu informacyjnego, Hasegawa, redaktor polityczny, i Suzuki, jeden z wydawców „podziemi" Jiji. Czterdzieści stołów, kilkanaście maszyn do pisania. Przy każdym stole czterech albo pięciu dziennikarzy. Gazeta robi się.

Jeden z redaktorów zbliża się do p. Wada i przedkłada mu jakiś artykuł. Jakaś młoda kobieta pomstuje przeciw dyplomacie zagranicznemu. Żył z nią przez kilka lat, następnie porzucił. Zamierza zaskarżyć go do sądu, jest pewna, że wygra. Nielada gratka!

Natychmiast zaalarmowano jeden z licznych samochodów redakcyjnych. W chwili, kiedy fotografowie wychodzą z aparatami, reporterzy piszą już sprawozdania. Trzeba koniecznie skłonić młodą kobietę do zwierzeń, by dowiedzieć się jaknajwięcej szczegółów o zlem traktowaniu jej przez cudzoziemca. Przedewszystkiem trzeba robić to prędko, gdyż reporterzy Asahi i Tokjo Nichi-Nichi, dwu największych dzienników w Tokjo, są już pewnie na miejscu.

W kilka minut potem odbierają telefon: kobieta cofa skargę. Czyżby doszło do polubownego załatwienia sprawy? W każdym razie, trzeba od niej wyciągnąć zeznania, gdyż nie można pozwolić, żeby cudzoziemiec łamał życie japonki i unieszczęśliwiał ją na zawsze. Wiele to młodych, sentymentalnych dziewczynek, staje się łupem tych paniczyków z Zachodu!

Wydanie wieczorne zapowiada nieunikniony konflikt. Trzeba tę sprawę wyświetlić. Co się tyczy dyplomaty, nie troszczą się o niego: najwyżej będzie odwołany.

W redakcji Nichi-Nichi trzystu dziennikarzy pracuje bez przerwy. Redaktor działu polityki zagranicznej informuje mnie o sytuacji w Mandżurji. P. Hazanono, najsympatyczniejsza osobistość w świecie dziennikarskim w Tokjo i p. Kato, podają szczegóły.

Sensacja przedewszystkiem

Nagle przychodzi wiadomość z agencji Rengo: Francja zajęła dziewięć wysp na Oceanie Spokojnym. Narady: czego chce Francja? Czy chodzi o utworzenie baz wojennnych między Indochinami a Nową Kaledonją? A może Francja przystępuje do bloku antyjapońskiego? I już drukują pierwsze wydanie z odpowiedzią Francji, która zachowuje się z całą rezerwą dyplomatyczną, tembardziej usprawiedliwioną, że nie nadeszło jeszcze oficjalne potwierdzenie o zajęciu wysp. W 24 godziny do redakcji Nichi-Nichi wpada pewien japończyk. Jego informacje są wielkiej wagi.

Hazanono tłumaczy mi: Wyspy te należały przedtem do Japonji. Oto jest człowiek, który twierdzi, że zajął je dwadzieścia lat temu.

Maszyny rotacyjne idą w ruch. Jest ich razem czternaście. Na pierwszej stronie: prawa do wysp Japonji. W artykule następnym: wezwanie do rządu japońskiego, by energicznie dochodził niezaprzeczonych praw Japonji. Podstępne zamiary Francji są dobitnie podkreślone. Zwracają się do posła japońskiego w Paryżu, Sawada, by interwenjował natychmiast u rządu francuskiego. Gaimusho oświadcza dziennikarzom, że bada wytworzoną sytuację, szczególnie prawne podstawy okupacji francuskiej.

Następnego dnia ucichło o wspomnianym osobniku. Znaleziono za to jakieś towarzystwo japońskie, które zajmowało się pozornie eksploatacją fosfatu na wyspach, lecz musiało ją przerwać wskutek kryzysu.

A co się stało z tym człowiekiem? Znikł! Szkoda! Po oczernieniu Francji rząd japoński doszedł do przekonania, że należy sprawdzić, czy on naprawdę jest zdobywcą tych dziewięciu wysp. I co się okazało? Wyspy zajęte przez Francję są odległe od wysp rzekomego zdobywcy o trzysta sześćdziesiąt mil. Ale to jest bez znaczenia. Pierwsza reklamacja była nieuzasadniona. Trudno, pomyłka. Druga skarga — tak samo. Sawada ma za zadanie interwenjować u rządu francuskiego. Uprzedzam pewnego wysokiego urzędnika, że Francja odpowie przewlekaniem sprawy. Na to on z uśmiechem:

— A jednak musimy robić wszystko, by zaspokoić opinję publiczną.

Wszystko wolno

W Japonji prasa może sobie pozwolić na królewskie kaprysy. Zależnie od humoru może napadać na ministrów, i wysokich dygnitarzy, nawet gwałcić ustawy społeczne. Chroni ją coś w rodzaju „nietykalności prasowej" i stawia ponad przeciętnych śmiertelników.

Władza jej ma jeden słaby punkt: jak wszyscy monarchowie ma wiele kłopotu z budżetem i to jest jej achilesowa pięta.

Dziennikarz, który po ukończeniu studjów debiutuje w jakimś większym dzienniku tokijskim, zarabia pięćdziesiąt jen miesięcznie. Jeżeli jest utalentowany osiąga sto jen. Potem przez kilka lat gaża jest niezmieniona. Kiedy uzyska sto pięćdziesiąt jen miesięcznie, może uważać się za szczęśliwca. A kiedy przypadnie mu zaszczyt redaktora, będzie miał aż dwieście pięćdziesiąt jen miesięcznie!

W porównaniu z urzędnikami może uważać się za wybrańca losu, i to tłumaczy fakt, że zawód dziennikarza, lekceważony jeszcze do niedawna w Japonji, uchodzi dziś za bardzo zaszczytny. A jeśli wyślą kogoś zagranicę jako korespondenta, administracja, tak skąpa w stosunku do miejscowych redaktorów, staje się prawie że wspaniałomyślna. To też dla japońskiego dziennikarza odwołanie z zagranicy do miejscowej redakcji uchodzi za prawdziwą niełaskę, za rzeczywisty koniec karjery.

Z książki „Japon 1934"
Maurice'a Lachin.

STARA JAPONJA:



W rocznicę śmierci ostatniego cesarza kapłani ozdabiają parki latarniami.

Rewolucja w Japonji jest nieunikniona

Wywiad z Maurice Lachin, autorem książki o Japonji współczesnej.

Zamordowanie premjera Inukai przed dwoma laty miało taki wpływ na życie polityczne Japonji, jak ostatnie wypadki z 6-go lutego we Francji. Siły dotychczas rozproszone znalazły ujście w silnej i sprężystej organizacji. Wyczuwa się, że „coś" wisi w powietrzu i mogę śmiało zaryzykować powiedzenie: już jutro rewolucja w Japonji.

— Jednak, jeśli wierzyć ostatnim depeszom, sytuacja nie przedstawia się wcale tak groźnie.

— To jest mylne wrażenie. Trudno sobie wyobrazić, do jakiego stopnia są zdyskredytowani kapitaliści i parlamentarzyści japońscy. Wszyscy, z którymi rozmawiałem na ten temat, wyrażali się o nich z pogardą i nienawiścią.

— Co właściwie zarzucają w Japonji posłom i kapitalistom?

— Udało mi się poznać prawdziwe przyczyny tej nienawiści. Ilekroć badałem jakiegoś japończyka w tej sprawie, słyszałem tę samą, lakoniczną odpowiedź: „pogwałcili konstytucję Meiji". Intencje cesarza, jej twórcy zawarte są w jednem zdaniu: „wszyscy japończycy, bez względu na stan i pochodzenie, korzystać będą w równej mierze z dobrodziejstw postępu, idącego do nas z Zachodu".

— Dotrzymano obietnicy?

— Właśnie, że nie! Na ośmdziesiąt miljonów japończyków zaledwie dwa miljony doznały poprawy swego bytu. Reszta poddanych Mikada żyje w skrajnej nędzy i za marne grosze ćaje z siebie maximum wysiłku. Szlachta „rezygnując" manifestacyjnie ze swoich przywilejów, utworzyła prawie równocześnie nowy ustrój feudalny, potężniejszy i bardziej jeszcze nieludzki: panowanie kapitalizmu. Połowa majątku narodowego Japonji jest w rękach kilku rodzin zgrupowanych w dwa potężne klany: Mitsui i Mitsubichi. Ci ludzie panują nad życiem ekonomicznem całego państwa. Japończycy zarzucają im z goryczą, że zagarnęli dla siebie całe dobrodziejstwo konstytucji Meiji. Rozgoryczenie to jest tak wielkie, że pewien dziennikarz nie zawahał się zawołać przy mnie: „gdybym miał pod ręką jakiegoś Mitsui, zabiłbym go, jak psa!" Jestem przekonany, że nie kłamał. Mitsui i Mitsubichi są zresztą doskonale poinformowani o nastrojach ulicy japońskiej, i nie śmią wychylać się poza mury swoich warowni bez silnej eskorty przybocznej.

— Dobrze, ale to nie tłumaczy dlaczego i posłowie są przedmiotem tej samej nienawiści?

— To ma ścisły związek z poprzedniem. Monarchy, ani dyktatora nie można kupić tanim napiwkiem, a posła...

— Tak, my francuzi wiemy coś o tem...

— Otóż w Japonji dzieje się to samo, co u nas. Lud, zwłaszcza armja, stanowiąca awangardę ruchu rewolucyjnego, oskarżają stare stronnictwa, że pozostają na żołdzie grupy kapitalistów. Ciekawe jest jedno, że w tem wszystkiem nie ucierpiał w niczem autorytet Mikada. Nigdy japończycy nie wystąpią przeciwko swemu cesarzowi. Wprost przeciwnie! Od niego właśnie oczekują wprowadzenia zmian, oraz ścisłego i sprawiedliwego zastosowania konstytucji Meiji.

— Są jednak w Japonji komuniści i socjaliści...

— Ci nie mają żadnego znaczenia, a to dla dwu powodów: ich program socjalny jest taki sam, jak faszystów, i traci moc przyciągania przez swoją banalność. Sama zaś koncepcja internacjonalizmu jest nie do przyjęcia dla japończyków. Japończycy są w tej chwili „narodowo-marksiści".

— Czy wodzem rewolucjonistów może zostać tylko cesarz?

— Oczywiście. „Noc świętego Bartłomieja" w Japonji, ma być dziełem Mikada, odsyłającego parlamentarzystów do ich poprzednich zajęć i odbierającego Mitsui i Mitsubichi całe ich znaczenie. Tego przynajmniej oczekują wszyscy.

Następnie przechodzimy do sprawy polityki imperjalistycznej Japonji, która od dłuższego czasu grozi wybuchem wojny na Dalekim Wschodzie.

— Japończycy mają zawsze na ustach słowo: pokój. I nie ulega wątpliwości, że są wówczas szczerzy. Ale bezpieczeństwo, którego szukają, nie dotyczy jakiegoś terytorjum, tu chodzi o sprawy natury ekonomicznej. Znaleźć rynki zbytu, zaopatrzyć się w materjały pierwszej potrzeby jest dla nich kwestją życia lub śmierci.

— A konflikt z Z. S. R. R.?

— Należy do takich, które prędzej czy później muszą znaleźć swe rozwiązanie w wojnie. Pozostawione same sobie Rosja i Japonja nie ryzykowałyby awantury wojennej. Ani jedna, ani druga nie mają w tem żadnego interesu. Niebezpieczeństwo tkwi w stanowisku innych mocarstw. Szczególnie Manchester widziałby chętnie taki konflikt, który sparaliżowałby aktywność japońskiego przemysłu na długie lata. Amerykanie znowu pomagają w zbrojeniach Rosji, którą wszystkie państwa kapitalistyczne namawiają pocichu do wojny. Jednak wskutek kryzysu, pomoc ta jest niedostateczna i to wstrzymuje narazie nieunikniony wybuch. Za kilka lat, kiedy Yankes'i wybrną z marazmu ekonomicznego, który ich gniecie w tej chwili, może być całkiem inaczej. Japończycy rozważają teraz dwie możliwości: wojna prewencyjna z dużemi szansami powodzenia dzisiaj, wojna defenzywna przeciw potężnym wrogom jutro.

„Je suis partout", Paryż.

Renée Dunan

ZŁODZIEJ

Na rogu ulicy — dzielnica nie cieszyła się dobrą opinją, ostatnio była terenem kilku krwawych awantur — grzeczny, zimny policjant zatrzymał krótkim gestem nocnego przechodnia, idącego szybkim krokiem. Właśnie wybiła druga po północy.

— Przepraszam pana...

Nieznajomy zrobił jeszcze krok naprzód. Twarz jego wyrażała oschłość i stanowczość, krótka siwiejąca bródka dodawała mu jeszcze powagi i surowości. Pod pachą niósł rodzaj niewielkiej czarnej teczki.

— Doktór James Nastim — rzekł, przyczem twarz jego nie zdradziła najmniejszego zdziwienia lub zdenerwowania. Równocześnie w jego ręce ukazała się karta wizytowa, którą policjant przeczytał, nie drgnąwszy.

— Gdzież to pan się wybiera, doktorze, tą drogą. Czy to pańska walizeczka z instrumentami?

— Tak. Poród.. Do widzenia.

I, nie czekając, oddalił się. Policjant skinął głową.

O sto metrów dalej lekarz skręcił w szerszą ulicę, trochę ponurą o tej godzinie, wyprostowany przeszedł na drugą stronę, szybko minął z sześć domów, powrócił, i, cicho, jak kot, zatrzymał się przy drzwiach jednego z domów, przylgnął do nich całem ciałem, poczem rozejrzał się wokoło, i bez szmeru otworzył je jakiemś narzędziem.

Wszedł na schody wyłożone grubym dywanem, doszedł do drugiego piętra i zatrzymał się. Po trzech minutach zupełnej ciszy, pochylił się nad drzwiami po prawej stronie, otworzył je bezszelestnie, zasunął zamek, wszedł do mieszkania. Pocichu otworzył jedne, drugie, potem trzecie drzwi. Wiedział, że para zamieszkująca to mieszkanie, jest o tej porze co wieczór w nocnych lokalach. Za trzeciemi drzwiami ujrzał łóżko i na łóżku człowieka. Nie zrobiło to na nim jednak najmniejszego wrażenia.

Fałszywy lekarz, a naprawdę niebezpieczny, dotychczas nieuchwytny włamywacz, dotyka znajdującego się w kieszeni rewolweru. Jest pewien siebie. W tej chwili od strony łóżka daje się słyszeć głuchy jęk. Niewzruszony tem złodziej zapalił światło. Nie ulega żadnej wątpliwości, że znajduje się wobec umierającego. Zapewne zapalenie płuc. Twarz chorego jest czerwona i opuchła, spojrzenie beznadziejne. Nieszczęśliwy spogląda z niespokojnem zdumieniem na dziwnego przybysza.

— Doktór...

— Tak, telefonowano do mnie. Co za przeraźliwe zimno!

— Jeśli pan może mnie ratować, uczyń pan to prędko. Czuję się okropnie.

Złodziej pochyla się nad chorym i bada go. Po trzykrotnem usiłowaniu wydobycia ze siebie głosu, umierający mówi wkońcu:

— Uciekła... obraziłem ją ciężko... miała słuszność... teraz umieram...

Otrząsa się, poczem mówi dalej:

— Doktorze, niech pan słucha... niech pan jej powie, aby powróciła... i odprowadziła mnie... na miejsce wiecznego spoczynku... konieczcznie... pozatem... mam pieniądze, które... ukryłem przed nią...

Osłabł, lecz mimo to nie przerywał.

— Chciałem, aby była kochanką Lawita...

— Tego bankiera.

— Tak. On ją kocha... Odmówiła... uderzyłem ją...

— Te pieniądze są tutaj?

— Tak. Schowane. Onaby sama nie znalazła. Ktoś obcy by z nich skorzystał. Oprócz tych pieniędzy... nie mamy przecież nic... Leżą tam, pod konsolą...

Okropne rzężenie wydobywa się z jego gardła.

Doktór-włamywacz szybkim i nieomylnym ruchem otwiera skrytkę. Widzi stalową skrzynkę, podważa powoli zamek przy pomocy narzędzia, wyjętego z walizeczki. Wewnątrz są banknoty, które liczy.

Tymczasem umierający, po przejściu ataku, siada na łóżku. Jego twarz czerwona i zlana potem, wyraża straszliwe przerażenie. Chce coś powiedzieć, ale słowa więzną mu w ściśniętem gardle:

— Bandyta...

Złodziej patrzy na niego z lodowatą wyższością. Składa banknoty i chowa je starannie do kieszeni, następnie rzuca spojrzenie na zegarek.

Konający powtarza:

— Bandyta...

Włamywacz zamyka swą walizeczkę i mierzy wzrokiem przeciwnika, którego oszalałe oczy i woskowa twarz zdradzają bliski koniec.

Pochyla się nad zwyciężonym:

— Kto jest bandytą z nas dwojga: ja, ryzykując codziennie aresztowanie i spędzenie reszty życia na katordze, czy też pan, zabezpieczony przed prawem, chcący sprzedać w ohydny sposób swą żonę?!

Galwaniczny wstrząs przeszywa chorego. Pada na łóżko i wydaje ostatnie tchnienie.

Złodziej patrzy nań przez chwilę, idzie w kierunku drzwi i zatrzymuje się. Poczem mówi do siebie:

— A teraz muszę ją odnaleźć i dać jej te pieniądze. Złożę je u notarjusza... Przedewszystkiem, spójrzmy na nazwisko...

„Beauté Magazine“, Paryż.

PRZYJACIEL WĘŻÓW

Angielski tygodnik „Passing Show“ prowadzi ciekawą rubrykę stałą: relacje czytelników z niezwykłych zdarzeń, których byli świadkami lub uczestnikami. Oto próbka tych opowiadań.

Zdarzyło się to kilka lat temu, w południowym Sudanie, w miejscowości Lutuko, około sześćdziesięciu mil na wschód od Nilu.

Byłem w tym czasie „białym myśliwcem“, i wyruszyłem z Ugandy na spotkanie amerykańskich myśliwych, którzy rzeką ciągnęli do Rejay.

Pozostawiłem sobie sporo czasu przed ich przybyciem na wynajęcie tragarzy do mojej karawany, i w tym celu rozbiłem obóz z moimi niewieloma swahilskimi służącymi w sąsiedztwie wielkiej wsi Lutuko.

Trzeciego wieczora mego pobytu wyszedłem ze strzelbą, aby upolować parę ptaków; zbliżyłem się o pół mili do brzegów rzeki, w której roiło się od krokodylów, gdy usłyszałem coś, co wziąłem za chrapliwy krzyk kuropatwy.

Posuwając się ostrożnie w stronę kępy krzaków, z których zdawał się dochodzić głos, usłyszałem dźwięk raz jeszcze i odrazu zrozumiałem, że był to krzyk nie ptaka, lecz człowieka i to krzyk pełen rozpaczy.

Okrążyłem krzaki i ujrzałem dwoje krajowców: mężczyznę i kobietę, walczących z sobą. Spostrzegłem, że dziewczyna, która zdawała się mieć zaledwie czternaście lat, walczyła rozpaczliwie, aby uwolnić się z objęć mężczyzny. Skoczyłem naprzód i dałem chłopu zdrowego kopniaka.

Potoczył się po ziemi, a dziewczyna odskoczyła, patrząc na mnie ogromnemi, bronzowemi, pełnemi przerażenia oczyma. Poszedłem w stronę wsi, a ona uciekła, biegnąc prędko i wdzięcznie z główką wysoko podniesioną, jak spłoszona gazela.

Gdy zwróciłem się do leżącego na ziemi, kościstego, odrażającego mężczyzny, zaskoczył mnie prawie zwierzęcy wyraz jego twarzy. Białka oczu, nabiegłe krwią, zdawały się ognisto-czerwone, a twarz skrzywiła się tak potworną złościwą wściekłością, jakiej nigdy jeszcze nie widziałem u ludzkiej istoty.

Podniósł się trochę, i nagle chwycił krótką dzidę, leżącą przy nim na trawie. Jednym susem nadepnąłem mu na palce, podniosłem dzidę i połamałem na kolanie — co było śmiertelną zniewagą! Potem systematycznie i dokładnie wygarbowałem mu skórę.

*

Tego samego wieczora, po skończonym obiedzie, ujrzałem w świetle księżyca wysoką postać, zbliżającą się do mego namiotu; na moje wezwanie odpowiedział głos, który rozpoznałem, jako należący do wodza plemienia Lutuko.

Był to przystojny mężczyzna w średnim wieku. Dumna postawa i odważne spojrzenie zacierały komiczne wrażenie staroświeckiego żakietu, który, jako jedyny strój, nosił dla zaznaczenia swego urzędu. Wydawał się zmartwiony i niespokojny.

— Cóż Ogutu skłoniło cię do opuszczenia wsi tak późno w nocy? — zapytałem po zwykłym obrzędzie powitania Z reguły dzicy niechętnie opuszczali po zachodzie słońca swoje bezpieczne, kolcami otoczone wsie.

— Chodzi o człowieka, którego pan dziś pobił, bwano, — odpowiedział.

— Ach tak, — powiedziałem — ależ Ogutu, on w zupełności na to zasłużył. — I opowiedziałem mu przebieg wypadku. Ogutu zasępił się.

— Tak, on jest zły — mruczał — moi ludzie boją się go i nie mają odwagi się skarżyć!

— Dlaczego? Kim on jest?

— Jest to „Przyjaciel Węży“. — Głos Ogutu zabrzmiał uroczyście. — Węże przychodzą na jego wezwanie i są mu posłuszne. On zagroził, że tej nocy przyśle je do pana namiotu — pan nie powinien był łamać jego dzidy, bwana.

Zaśmiałem się: każesz mi wierzyć w dziecinną bajkę? Czy chcesz mi powiedzieć, że ty, Ogutu, który byłeś żołnierzem Królewskich Strzelców Afrykańskich, boisz się pogróżek tego zarozumiałego pyszałka?

— Ja widziałem — odrzekł z prostotą. Podniósł się do odejścia.

— Niech pan otoczy swój namiot tej nocy pierścieniem z ognia, bwano — błagał prawie. — Chociaż nie wiem, czy i to wystarczy. Pan nie powinien był łamać jego dzidy, bwana, pan nie powinien był...

*

Była to pamiętna noc. Przygotowywałem się do snu, gdy nagle, w jednym z dwóch namiotach, zajętych przez moich ludzi, podniósł się krzyk, i po chwili podobny krzyk rozległ się i w drugim namiocie.

Na moje wezwanie przybiegł dziesiętnik.

— Węże, bwana, — rzekł w odpowiedzi na moje pytanie.

— Węże. Nie wiem ile, ale gromadzą się z wszystkich stron.

Właśnie wtedy prześlizgnął się między nami tłusty okularnik. Szybko wdziałem długie skórzane buty i przyłączyłem się do oszalałych tubylców.

Gdy zabiliśmy blisko dwadzieścia jadowitych wężów i gdy, prawdopodobnie, drugie tyle zniknęło w trawie, wydałem rozkaz zestawienia razem wszystkich trzech namiotów i otoczenia ich pierścieniem ognia. Żmije ukąsiły dwuch tubylców, ale po zastosowaniu silnie działających środków leczniczych, niebezpieczeństwo przestało im grozić.

Postawiłem wartę przy ogniu i poszedłem wreszcie spać, zmęczony i bardzo zdenerwowany, a mimo to spałem twardo. Zbudziłem się, kiedy niskie słońce poranka zaglądało do szeroko otwartego namiotu i dźwięk talerzy świadczył o przygotowaniach do rannej herbaty.

Leżąc nawznak z zamkniętemi oczyma, poczułem jakieś poruszenie na piersiach, i przez chwilę, w półśnie myślałem, że jestem znowu w domu, i że mój ulubiony terrier wskoczył do mego łóżka, jak to robił co rano.

Już chciałem pogłaskać jego kudłatą głowę, gdy wypadki nocy odżyły w mej pamięci.

Otworzyłem w przerażeniu oczy i zdrętwiałem ze strachu: zwinięta na mojej piersi, z małą, lśniącą główką, odległą od mojej twarzy, nie więcej niż o sześć cali, leżała czarna żmija, równie śmiercionośna, jak królewska kobra. Leżała na prześcieradle, które było mojem jedynem nakryciem, i, jak zdawało mi się, złośliwy uśmiech czaił się w jej wąskich, czarnych oczach, które utkwiła w moich.

Prawa moja ręka leżała tuż obok zwiniętego gada, ale ponieważ słyszałem o niewiarygodnej szybkości ruchów tego dziwnego, rzadkiego węża, zwątpiłem, czy uda mi się chwycić go nagle za kark i unieszkodliwić.

Pomyślałem: „lepiej być ugryzionym w rękę, niż w twarz“ — i naprężyłem wszystkie mięśnie do chwytu, kiedy usłyszałem, jak zbliża się służący z herbatą.

Bęc! Opuścił tacę i usłyszałem jego przerażone: Allah! Odrażające stworzenie na mojej piersi, obróciło się z szybkością błyskawicy i teraz wpatrywało się w tubylca, który stał w nogach mojego łóżka.

Postanowiłem wykorzystać tę chwilę. Powoli, cal po calu, podnosiłem ręce do brzegów prześcieradła. Służący powoli sięgał po strzelbę, a wąż, wciąż cicho syczący, z naprężeniem obserwował każdy jego ruch. Mrugnąłem, aby cofnął się. Nie umiał obchodzić się z bronią, i czułem, że będę pewniejszy sam na sam ze żmiją.

Chwyciłem wreszcie oburącz brzeg prześcieradła, szybkim ruchem zrzuciłem je z siebie na węża i wyskoczyłem z łóżka, wlokąc za sobą siatkę przeciw moskitom. Nabijałem strzelbę i czekałem, aż nienawistny łeb wynurzy się wreszcie ze zwiniętego prześcieradła na łóżku, gdy opanowała mnie pewna mściwa myśl.

Przy pomocy kilku kawałków ciężkiego drzewa unieszkodliwiłem węża w pułapce, a ja, zwracając się do zdumionego służącego, kazałem mu bezzwłocznie pobiec do wodza i sprowadzić go razem z „przyjacielem wężów“ do mego namiotu.

Po pół godziny ujrzałem zbliżający się pochód: służący prowadził „człowieka wężów“, ciągnąc go za chudą rękę, na czele kroczył wódz, a do jego ramienia tuliła się dziewczyna, którą ostatnio widziałem uciekającą, jak dzikie zwierzątko.

Wziąłem Ogutu na bok i zapytałem:

— Kto to, Ogutu? Czy to twoja córka?

— Nie — odrzekł. — W przyszłym tygodniu będzie moją żoną — dodał z dumą.

— Aha — powinieneś tedy bardziej na nią uważać. Jest to kobieta, którą tej nocy widziałem walczącą z człowiekiem, zwanym przez was „przyjacielem wężów“.

— Doprawdy? — brwi jego ściągnęły się, odwrócił się do dziewczyny i zamienił z nią

(Dokończenie na str. 9)

W DŻUNGLI WALKA NIGDY NIE USTAJE

Ludzie tracą głowy w dżungli. Tracą głowy spowodu mroków, spowodu żaru upałów, spowodu czterdziestodniowych deszczów, spowodu siebie samych. Nie urodził się jeszcze człowiek, któryby, zaszywszy się głęboko w morze tropikalnej roślinności, nie znienawidził go i nie nabrał wstrętu, a równocześnie nie odczuwał silnej tęsknoty za niem — po kilkutygodniowem deptaniu twardych, bezpiecznych gościńców cywilizacji.



Arystokrata dżungli

Istnieje coś w duszach pewnych ludzi, co poprzez wieki gnało ich na morza, w kraje nieznane, na szczyty gór, pokrytych lodowcami, poprzez dżungle, gdzie czyha śmierć i rozpacz. Czasem gnała ich żądza złota, częściej była to namiętność dojścia tam, gdzie jeszcze stopa ludzka nie stanęła, zobaczenia tego, co znajduje się po tamtej stronie widnokręgu. Morze i dżungla wabią i nęcą, jak Cyrce, i, choć nieraz prowadzą do śmierci, oprzeć się im nie można.

— Poco to robisz? — zapytałem przyjaciela, którego zastałem przy wertowaniu stronic czasopisma geograficznego z bibljoteki naszego klubu. Wybierał się właśnie w głąb puszczy brazylijskiej i pragnął przerzucić sprawozdanie wypraw poprzednich.

— Wiesz przecież, że narażasz się na ciężkie warunki, niewygody, znoje, zaburzenia umysłowe. Może cię tam i śmierć spotkać. Twoja praca zapewnia ci już spoczynek, wygody i cywilizowany spokój. Jesteś bogaty, nie potrzebujesz szukać fortuny. Jesteś awanturniczym romantykiem. Wiesz chyba, co cię tam czeka...

— Właśnie, że nie wiem! — przerwał mi przyjaciel. Twarz jego rozjaśniła się. — I właśnie dlatego wybieram się tam. Wskazał mi rozdział w czasopiśmie, które trzymał w ręku i zaczął czytać na głos pamiętniki jakiejś wyprawy:

— W głębi środkowej Brazylji znajduje się rzeka, o której nikt nie wie, dokąd płynie. Indjanie twierdzą, że wpada do wielkiego zatrutego jeziora, nad którego brzegami rosną czarne orchidee. Lecz nikt tego jeziora jeszcze nie widział. Jest to rzeka Dubida, rzeka zwątpienia. Nikt nie wie, dokąd ona płynie. Przecież w tym świecie materjalistycznym, wszystko jedno dokąd płynie jedna z tych setek rzek brazylijskich, nieoznaczonych na mapie, a jednak czterech cywilizowanych ludzi narażało się z tego powodu na rok udręki, a jeden poświęcił dziesięć lat swego życia.

Wszystkie rzeki dżungli są rzekami zwątpienia i niepewności. Tam bowiem nikt nie wie, co się z nim stanie za 24 godziny.

Słońce siecze bezlitośnie te wijące się wstęgi gorącej wody w południowo-amerykańskiej puszczy ekwatorjalnej, które szukają morza, lecz promienie słoneczne filtrują się przez gęsty dach dżungli i dosięgają je tylko tam, gdzie runięcie sędziwego króla puszczy zrobiło czasową wyrwę w gąszczu zieleni.

Pod dachem dżungli panuje stale półmrok, pod dachem dżungli znajduje się wiele rzeczy, których oko ludzkie nigdy nie zobaczy. Człowiek może tam najwyżej zauważyć powierzchownie te rzeczy, które bezpośrednio dotyczą jego życia i bezpieczeństwa. Zauważa liny pnącego się dzikiego wina, chciałby uczepiwszy się tych sznurów, przerzucić się przez sadzawkę pełną niebezpiecznych ryb, lecz wnet spostrzega, że one roja się od jadowitych mrówek. Nie wolno tego dotknąć. Lub spójrz na tę palmę o tak subtelnym pokroju. Dolna strona jej miękkich liści jest obrośnięta ostremi cierniami, które wpiją się w ciało, przyprawiając o niewymowne katusze. Należy je ominąć zdaleka. Wogóle rozsądny podróżnik nigdy nie idzie na czele wyprawy, postępuje za tubylcami.

Jeden przynajmniej spośród trzech tubylców zobaczy lub wyczuje obecność jadu i zatrzyma wyprawę w odpowiedniej chwili. Powiedziałem zobaczy, lub wyczuje, albowiem widziałem prymitywnych naganiaczy, zatrzymujących się nagle i śledzących w ciszy śmiertelnej za niewidzialnem niebezpieczeństwem, którego obecność oni jednak wyraźnie wyczuwali.

Kark mi zdrętwiał spowodu ciągłego odwracania głowy w kierunku spojrzeń przewodników, śledzących smugi cieniów w zaroślach.

Okularnik jest królem puszczy południowo-amerykańskiej, rzecz przeto zrozumiała, że człowiek zatrzymuje oddech, gdy czuje, że znajduje się w obecności króla.

Wiele historyj z wężami są niczem innem jak fantazjami podróżników. Większość wężów jadowitych śpi w ciągu dnia i budzi się tylko wtedy, gdy człowiek na nie nastąpi, lub w inny sposób je rozdrażni. Piętnaście lat temu zostałem ukąszony spowodu własnej nieostrożności. Nie byłem napadnięty przez czyhającego węża. Nieostrożnie wspiąłem się na wysoki pień, nie patrząc nawet, gdzie stawiam stopę. Człowiek w dżungli robi dziennie przeciętnie 15.000 kroków, nie jest więc niczem nadzwyczajnem — i rachunek prawdopodobieństwa to potwierdza, — że jeden z tych kroków w ciągu pewnego okresu może nadepnąć na śpiącego spokojnie gada.

Lecz okularnik ma swoje własne prawa. Tak, jak czarny jaguar, zdaje on się być zahipnotyzowany, zachwycony widokiem skradających się ludzi i waha się atakować z miejsca, chyba, że jakaś okoliczność stawia człowieka w niekorzystnej sytuacji, wtedy on z nadzwyczajną zwinnością korzysta z sposobności.

Raz byłem prześladowany przez czarnego jaguara przez cały tydzień, nie widząc go wcale. Indjanie widzieli, że on nas śledzi, krążąc dokoła naszej marszruty. Starali się trzymać się razem przez cały czas.

Lecz król dżungli ma lepszą technikę.

Nie czeka on, aż któryś z członków wyprawy zabłądzi. Wynajduje zwykle jakąś często nawiedzaną ścieżkę, szczególnie obóz prowizoryczny. Tam się zwija i czeka. Długi osiem do dziewięciu stóp, o silnych mięśniach, dzikiem spojrzeniu — uderza on jak piorun i wstrzykuje tak olbrzymią ilość jadu przez swoje białe kły, że jego ofiara mdleje zwykle natychmiast spowodu samego wstrząsu. Krąży dokoła ludzi i najchętniej zaczaja się tam, gdzie ludzie zwykli przebywać.

Nie wierzysz w to co ci mówię? Otóż wiedz, że w tym roku widziałem go po raz piąty. Obozowaliśmy nad rzeką pełną ryb i o kąpaniu się w niej nie było mowy nawet. Ustawiliśmy namiot kąpielowy, w którym znajdowały się płócienne rurociągi i wiadra z wodą. Cieszyliśmy się tem trzy dni zaledwie. Czwartego dnia tuż przed zwyczajną porą kąpielową rozległ się przeraźliwy krzyk Jimmy, naszego miejscowego posługacza. Wszedł on do namiotu, by zobaczyć, czy wszystko było w porządku do kąpieli „panów". Ujrzał węża, wychylającego łeb za węgła namiotu. Nienawiść człowieka prymitywnego do króla dżungli jest wprost fanatyczna. Ludzie ci zniszczyli namiot swojemi strzałami i kordelasami. Następnego dnia drugi gad wsunął się do namiotu i przyczaił się. Jimmy ujrzał go pierwszy.



Ozdoba dżungli

Odtąd od świtu do zmroku stał jeden człowiek na straży — na straży przed tem, co rzadko widzieć można, lecz gdy się je już zobaczy, wtedy jest już zapóźno. Dżungla nie zna spokoju. Tętni ona miljonowem życiem — zwierząt, ptaków, płazów i owadów. Grunt jest pełen żywych istot, drzewa kryją gniazda stworzeń latających, pnących się, łażących i pełzających. I nieustannie toczy się zawzięta walka. Życie bezustannie napada na życie, a ten, który zwycięża, niezawsze jest najsilniejszy lub najdzielniejszy. Zdrada i nikczemność często odnoszą zwycięstwo. Smukłe i giętkie dzikie wino oplata pieszczotliwie wielką Morę, monarchę dżungli. Wino wypuszcza szybko setki odgałęzień, które po pewnym czasie krzepną, wzmacniają się i pętają w twardych oplotach szukające słońca drzewo, na którem wyrosły, dławią je i wkrótce zabijają. Widziałem piękny, wspaniale kwitnący kwiat Lotosu Śmierci, jak uwięził dziób ptaszka i zwolna nad nim swoje cudowne płatki zamykał.

Każda istota żyjąca ma swojego otwartego wroga. Widziałem cykl walki w dramatycznym splocie ciągłej nieprzerwanej walki. Widziałem jak roje mrówek pożarły jaguara, którego zaskoczyły bezbronnego, bo przywalonego drzewem.

Widziałem, jak olbrzymi mrówkojad napadł na mrowisko osiem stóp wysokie i osierał się, pogrążając swoje wielkie szczęki w meandry mrowiska; widziałem dalej mrówkojada zabitego przez ukąszenie jadowitego węża, i węża zabitego przez olbrzymiego bociana Jiburu; wkońcu widziałem myśliwego, wracającego z upolowanym bocianem Jiburu, którego ugodziła zatruta strzała. Widziałem też ludzi martwych spowodu ukąszenia ryby persi i widziałem jak jedna ryba persi pożerała drugą. Każdy zwycięzca ma swojego przyszłego zwycięzcę. Walka o byt toczy się nieubłaganie i na każdego zwycięzcę czyha nowy wróg. Walka i śmierć, oto są prawa dżungli. Nogi bolą po całodziennej wędrówce w grząskiem, lepkiem błocie a ręce i paznogcie od grzebania się w ile. W nocy przerywają sen owady, które przedostają się przez wszelkie sieci, a wampiry krążą nad obozem, niczem duchy przeklęte i szukają krwi ludzkiej. Człowiek jest tu najbezbronniejszą istotą, albowiem jest wielki, nie ma zaś ani kłów, ani szponów, lecz tylko fuzję, której zresztą też nie znajduje często pod ręką w chwili właściwej.



Postrach dżungli

Jeżeli jednak w tych nieprzebytych gęstwinach nie ginie, jeżeli mu się jednak udaje i sfinksowi dżungli wiele tajemnic wyrwać, to zawdzięcza to przedewszystkiem wiedzy, tej wiedzy, która mu dała panowanie nad stworzeniem i jego bezbronnego w niezwyciężoną broń uzbroiła, a pozbawionego cudownych organów instynktu, zaopatrzyła w busole, lornety i aparaty, które mu je korzystnie potrafią zastąpić.

„Time", Nowy Jork.

PRZYJACIEL WĘŻÓW

(Dokończenie ze str. 8)

parę szybkich zdań w języku Lutuko. Widząc jej jawne zaniepokojenie, prędko wtrąciłem:

— Ale to nie była jej wina, Ogutu.

— Wiem, że nie — powiedział, głaszcząc ją uspokajająco i czule po ramieniu i, bez słowa już, odszedł z towarzyszącą mu dziewczyną.

Wszedłszy do namiotu, milcząco wskazałem zawiniątko na łóżku, a ponieważ nie rozumiał on po swahilsku, na migi poleciłem mu je rozwinąć.

Wódz najwidoczniej zawiadomił „przyjaciela wężów" przez mego służącego o zawartości zawiniątka, gdyż postępował on naprzód z pogardliwym uśmiechem, pocierał obie dłonie o siebie, spoczątku powoli, a potem coraz prędzej, aż rozległ się dźwięk, podobny do tego, jaki powstaje przy tarciu o siebie dwóch kawałków szorstkiego papieru. Następnie, podczas gdy spokojnie rozwijał zawiniątko, wydawał ustami przeciągły świst, który brzmiał jak: tsu-tsu-tsu-tsu...

Wydawało mi się, że złość i groza zniknęły z oczu czarnego potworka, zostawiając w nich tylko, pełen oczekiwania, wyraz, przypominający psa, patrzącego w oczy swego pana.

Powoli ręce jego wsunęły się pod ciało węża; ten zdawał się powoli opadać z sił i wreszcie leżał bezwładny i jakgdyby bez życia.

Patrząc na mnie wciąż z tym samym zuchwałym uśmiechem, „przyjaciel wężów" skierował się ku wyjściu, gdy ja pod wpływem nieodpartego impulsu, uderzyłem węża mocno szpicrutą, którą trzymałem w dłoni.

Wąż, rozprężył się, powrócił do życia i zanurzył ostre zęby w dłoni człowieka, który go trzymał tak pieszczotliwie. Ja skoczyłem do mojej apteczki po środek przeciwko jadowi żmiji — nie miałem wcale zamiaru obciążać mego sumienia śmiercią człowieka.

Rozumiejąc widocznie o co mi chodzi, „przyjaciel wężów" potrząsnął gwałtownie głową. Odszedł z wężem, oplatającym mu szyję, a ja pełen złych przeczuć, pozwoliłem mu odejść.

Następnego ranka Ogutu przyszedł mnie odwiedzić i pogodny, dostojny wyraz jego twarzy niezbyt harmonizował ze starym tużurkiem.

— Więc bwana — zawołał — co się dzieje z wężami?

Ani jeden nie złożył mi wizyty tej nocy — odpowiedziałem z triumfującym uśmiechem, — a jak się miewa nasz wężowy przyjaciel?

— On? On nie żyje! — Uśmiech Ogutu promieniał szczęściem.

— Umarł? — powtórzyłem i zrobiło mi się nagle zimno. Już widziałem sąd i oskarżenie o zadanie człowiekowi śmierci...

— Więc, mimo wszystko, żmija go zabiła?

— Nie, nie bwana — zachichotał wódz — to nie podziałałoby na niego. Węże były z nim w wielkiej przyjaźni...

Nagle opanował się i zajrzał mi głęboko w oczy, z widocznym namysłem, czy może mieć do mnie zaufanie.

Uspokojony powtórzył:

—Tak, węże były z nim w wielkiej przyjaźni, ale, — wódz zniżył głos — ale krokodyle, nie!

„Passing Show", Londyn.

———

Klapa faszystów angielskich

Hyde Park wyśmiewa „Czarne Koszule"

Sir Oswald Mosley, wódz angielskich „Czarnych Koszul", poniósł wczoraj dzięki londyńskiej policji, swą największą porażkę. Zainicjowany przez niego wiec w Hyde-Parku zakończył się kompletnem fiaskiem, głównie dzięki znakomitej organizacji policji oraz zdrowemu rozsądkowi robotników londyńskich, którzy nie wzięli udziału w kontrdemonstracji.

lem niedopuszczenia do jakiegokolwiek konfliktu z Mosley'em i jego ludźmi.

Nareszcie ukazał się Mosley, otoczony swą „gwardją", na czele 2550 „Czarnych Koszul". Przybyłych wpuszczono na zarezerwowany dla nich prostokąt, utworzony poprzednio przez policję. Na ten widok pan Mosley zmieszał się. Gdy tylko „Czarne Koszule" ukazały się na



Posterunkowy John Bull do faszysty i komunisty: Zepsuliście mi odpoczynek niedzielny! Więcej mi się tu nie pokazujcie. *„Daily Express", Londyn.*

„Czarnych Koszul" było 2550 — policji zaś 6000.

Prawie przez cały czas Sir Oswald stał na otwartem aucie z niezbyt tęgą miną — wszelkie jego zamierzenia zostały udaremnione przez przewidującą policję, która go „chroniła" przed ewentualną napaścią.

Po południu, na jakieś 4 godziny przed przybyciem Mosley'a — policja utworzyła kordon w formie prostokąta. Prawie 2000 policjantów odgradzało zwartym pierścieniem tłumy gapiów. Tłum ten składał się w większości z młodych dziewcząt, interesujących się pięknemi koniami policji oraz policyjnym autogiro, krążącym nad parkiem.

Pierwsi przybyli komuniści w sile kilkuset osób, z rozwiniętemi sztandarami. Oczekiwano, że na wiec ten przybędzie ich około 4000.

Zebranych otoczył silny oddział policji, cesiedmiu otwartych autach, służących za platformy, rozległo się tak przeraźliwe wycie, że gdyby nawet publiczność była dopuszczona bliżej, i tak nikt by nic nie usłyszał.

Każdy mówca był witany okrzykami: „Siadać. Siadać..." Wreszcie rozpoczął przemówienie Sir Oswald Mosley. Tłum widział, jak giestykulował rękami, groził pięścią, i otwierał usta, ale nikt nic nie słyszał. Gdy zgiełk doszedł do zenitu, nisko nad tłumem pojawił się autogiro, powiększając panujący hałas. Wkońcu sir Oswald zadowolił się wypowiedzeniem kilku słów do otaczających go „Czarnych Koszul", poczem wiec został rozwiązany. Policja otoczyła maszerujących faszystów. Sir Oswald usiłując nadrobić miną, opuścił park, niczem zwycięzony generał na czele cofającej się armji.

„Daily Herald", Londyn.

Nikt nie słuchał mów — 150.000 spacerowiczów przyjemnie spędziło niedzielę

Około 150.000 osób spędziło przyjemnie ostatnią niedzielę w Hyde Parku, przypatrując się konkurencyjnym demonstracjom Czarnych koszul i komunistów. Obawiano się, że komunistyczna opozycja zorganizowana przeciw zgromadzeniu Sir Oswalda Mosley'a skończy się rozruchami. Było wprawdzie kilku mąciwodów i dokonano nawet osiemnastu aresztowań, ale naogół obawy poważniejszych zamieszek okazały się płonne.

Setki policjantów pełniło służbę na terenie Hyde Parku. Całe tysiące ukryte były w najbliższej okolicy i na tylnych ulicach. Oddział pogotowia przybył w całej sile i ratownicze kolumny z noszami były gotowe na wypadek jakichś rozruchów. Na szczęście nosze były w użyciu jedynie w kilku wypadkach omdlenia. Jedną kobietę przewieziono do szpitala, spowodu ran głowy i ogólnego wstrząsu.

Ani jeden faszysta czy komunista nie nabił sobie nawet guza.

Słabe zainteresowanie

Jedyną bronią, jaką walczono, były słowa i hałas. Większość 150.000-tysięcznego tłumu, otaczającego Czarne koszule, była tylko średnio zainteresowana pojedynkiem słownym pomiędzy komunistami a zwolennikami Sir Oswalda Mosley'a.

Komuniści śpiewali „Czerwony Sztandar" i „Międzynarodówkę" dla zagłuszenia głosu mówców faszystowskich, a Czarne koszule rewanżowały się, wydając okrzyki na cześć swego przywódcy. Hałas doszedł do zenitu, kiedy Sir Oswald Mosley wszedł na samochód dla wygłoszenia mowy. Od strony opozycji komunistycznej zabrzmiały trąbki. Czerwoni zaczęli głośno śpiewać. Widać było tylko, jak Sir Oswald gestykuluje i krzyczy.

Nikt jednak nie słyszał co mówi. Aeroplan policyjny, który krążył nisko nad głowami, był nawet bardziej skuteczny w przygłuszeniu głosu mówców faszystowskich, niż komuniści. Tylko raz jeden przycichł warkot motoru, kiedy pod koniec zgromadzenia rozpostarto sztandar angielski i kiedy zwarty tłum zaintonował „God save the King".

Uniknięcie starcia

Pochody komunistów pierwsze weszły do Parku. Wszystkie kierowane były przez jedną bramę, a kiedy doszły do środka parku, okazało się, że wielka polana, gęsto otoczona policją, była już zarezerwowana dla faszystów. Ilekroć komuniści usiłowali zbliżyć się do niej, odpychała ich policja.

Czarne Koszule przymaszerowały z przeciwległej strony Parku i w ten sposób uniknięto starcia konkurencyjnych pochodów. Faszyści przybyli w wojskowym ordynku, a po uformowaniu się na przeznaczonem dla nich miejscu i po powitaniu wodza, utworzyli jeszcze jeden kordon w obrębie kordonu policji.

Sir Oswald przyjechał w pancernem aucie, otoczonem siatką drucianą.

Czarne koszule zdobyły przewagę punktu nad komunistycznymi rywalami



Policja zaopiekowała się faszystą.

Oni to, a nie komuniści, przyciągali uwagę tłumu widzów. Dzięki temu demonstracja komunistyczna straciła bardzo na atrakcyjności. Sami komuniści odchodzili od swoich mówców i przenosili czerwone sztandary i transparenty, żeby przeszkadzać i przerywać faszystowskim mówcom.

Zdarzył się pewien niewielki wypadek. Konny policjant spadł z konia i zwichnął nogę.

Kiedy Sir Oswald Mosley odchodził na czele pochodu faszystowskiego, pewien komunista rzucił laskę nad głowy tłumu. Upadła daleko od swego celu

Zresztą atmosfera w Parku była tak spokojna, że matki nie obawiały się przyprowadzić ze sobą dzieci w wózkach dla przyjrzenia się demonstracjom.

Wielu mężczyzn wyciągnęło się na ziemi i zasnęło spokojnie.

„The Daily Sketch", Londyn.

TERORYŚCI MACEDOŃSCY

Macedonja gdzie spędziłem ostatnio dziesięć dni, jest szczęśliwsza obecnie, aniżeli przed laty. Wojska rządowe uwolniły nareszcie kraj od teroru Macedońskiej Organizacji Rewolucyjnej, która z karnej armji, walczącej za wolność Macedonji, stała się związkiem bandytów.

Dotychczas władze bułgarskie zezwalały Organizacji tej na kierowanie sprawami Macedonji we własnym zakresie, uważając, że ze względu na jej wielką popularność, wszelkie próby odebrania jej władzy mogą się zakończyć wojną domową. Ostatecznie Organizację rozwiązano, członkom jej odebrano broń i skonfiskowano majątki, aresztowano przywódców oraz internowano przeszło 300 urzędników w wielu miastach Bułgarji.

Byłem zdumiony podczas mego pobytu w tym kraju, do jakiego stopnia Organizacja straciła popularność. Jej szef, Iwan Michajłow, byłby napewno zlinczowany, gdyby tylko pojawił się obecnie w górach.

— Teraz dopiero wierzymy, że istnieje Bóg — rzekł mi pewien stary wieśniak — dotychczas mogliśmy przypuszczać, że niema Go wcale. Nawet turcy dali nam pod koniec swego panowania trochę swobody, ale pod rządami Organizacji życie nasze nie należało do nas.

Organizacja nakładała podatki, znacznie przewyższające sumy, płacone Państwu przez obywateli bułgarskich. Podatek od owcy wynosił 25 lewów, od większych zwierząt 120 lewów. Każda firma macedońska musiała płacić od 10—15% na korzyść „funduszu macedońskiego". Często nawet żydzi musieli płacić ten haracz. Każdy robotnik, pragnący otrzymać pracę, obowiązany był do wpłacenia Organizacji pewnego procentu od wynagrodzenia; pozatem na każde żądanie musiał pracować za darmo. Każda rodzina zmuszona była do abonowania dziennika, wydawanego przez Organizację — prasa opozycyjna nie istniała na terenie Macedonji.

Organizacja popierała uprawę opium, przyczem wszystkie zbiory tytoniu, zboża lub owoców były wysoko opodatkowane. Sam tytoń przyniósł Organizacji w okresie od 1926 — 1932 ponad 1.500.000 funtów szterlingów, fantastyczną sumę w tak niewielkim kraju.

Wprawdzie Organizacja zakładała i utrzymywała szkoły, szpitale, kościoły i przytułki, ale instytucje te nie były bynajmniej lepiej postawione, niż gdzieindziej w Bułgarji. Jakkolwiek wszelkie gwałty były surowo karane, to jednak członkowie Organizacji popełniali bezkarnie najstraszliwsze zbrodnie.

Dwa tygodnie temu aresztowano w Bansko Dinko Wasiljewa, byłego „gubernatora" Organizacji w tych stronach. W ciągu ostatnich kilku lat zamordował on około 30 osób, z czego osiem osób, jak sam oświadczył, spalono żywcem. M. in. był tam pewien żyd, porwany rok temu, za którego zażądano 60.000 lewów okupu. Ojciec jego zapłacił tę sumę, lecz mimo to bandyci zamordowali swą ofiarę, w obawie przed zdradą.

Najniższy urzędnik Organizacji otrzymywał 3.000 lewów miesięcznej pensji (większość urzędników bułgarskich ma o wiele niższe wynagrodzenie), a przywódcy dostawali po 50.000 lewów miesięcznie, co stanowi dwukrotną pensję obecnego Prezesa Rady Ministrów.

Jakkolwiek nazywało się, że Organizacja prowadzi rewolucyjną walkę o Jugosławję (co było absurdem), ani Michajłow, ani też żaden z jego podwładnych nie przekroczyli nigdy granicy jugosłowiańskiej.

„The Observer", Londyn.

Klub dobrych mężów

Pastor amerykański Webb założył w Oklahomie „Klub Wdzięczności" wyłącznie dla szczęśliwych mężów.

Członkowie tego klubu muszą złożyć następującą przysięgę:

„Przysięgam, że będę całował żonę przynajmniej jeden raz dziennie, oraz że powiem jej conajmniej raz dziennie, że ją kocham; że będę wychwalał to, co mi przyrządzi i że przy każdej okazji będę się starał być dla niej miły i uprzejmy."

Klub liczy czterech członków.

„Gringoire", Paryż.

„Viva Villa" — wyrazem nastrojów Ameryki

W komunizującym tygodniku paryskim znajdujemy charakterystyczną recenzję z filmu „Viva Villa", wyświetlanego obecnie w kinie „Atlantic" w Warszawie.

Co za rozpasanie akcji, gwałtownych uczuć, szlachetności, siły, humoru, liryzmu rewolucyjnego i szczerych wzruszeń; co za doskonałe montaże i zdjęcia; co za wspaniała gra, trzymająca w napięciu, zawsze jednak ludzka! Wszystko to się mieści w filmie Jack'a Conway.

Lecz ten wir zalet kryje w sobie również obliczenia wytwórców amerykańskich: należy w tych niespokojnych Stanach Zjednoczonych, gdzie rodzą się obecnie najbardziej sprzeczne i gwałtowne prądy, zadośćuczynić życzeniom ogromnej masy publiczności, którą bezrobocie i nędza pchają ku rewolucji. Należy jednak przytem tę budzącą się siłę ujarzmić i skierować na takie tory, by służyła celom NRA prezydenta Roosevelta.

Jak Hollywood stworzył rodzaj arcydzieła, by ten cel osiągnąć.

Viva Villa! Przedewszystkiem co znaczy ten tytuł? Nazwisko Villy, generała Villy, znane jest lepiej naszym rodzicom, niż nam. Około roku 1880 bowiem cały świat zajmował się sprawą Meksyku i rewolucją peonów, chłopów, którzy pod dowództwem Villy wypowiedzieli wojnę krwawej tyranji Porfirio Diaz'a.

Film ilustruje różne fragmenty tego powstania chłopskiego z końca 19-ego wieku.

Przy okazji podamy kilka faktów z historji Meksyku. Meksykanie, potomkowie Mayasów i Azteków, władcy olbrzymiego i bardzo cywilizowanego kraju, byli w ciągu kilku wieków ujarzmieni przez kolonistów hiszpańskich. Brutalny wyzysk doszedł około 1850 roku do zenitu, stał się dla ludności do tego stopnia nieznośny, że doszło do rewolty, przeciw arcyksięciu austrjackiemu Maksymiljanowi, osadzonemu na tronie Montezumy przez Napoleona III. Dowództwo nad powstaniem objął Benito Juarez, który wreszcie uwolnił kraj z okupacji franko-austrjackiej.

Juarez stał się władcą kraju. Lecz niebawem władzę przejął jego adjutant, Porfirio Diaz. Ten ogłosił dyktaturę, a jej gwałtowność i okrucieństwo odczuwali przedewszystkiem peoni.

Początek filmu przedstawia nam koniec rządów Porfirio Diaz'a.

Zostaje wydany dekret: peoni są wywłaszczeni ze swych skrawków ziemi na rzecz wielkich obszarników ziemskich. Ogłoszenie przybito na drzewie. Mnich, jezuita, odczytuje je przerażonym chłopom.

— Co robić? — pytają zrozpaczeni.

— Poddać się woli Boga i prosić Go o łaskę! — odpowiada pobożny braciszek.

Stary wieśniak jest innego zdania. Zamierza w inny sposób uniknąć nieszczęścia. Na czele dziesięciu chłopów rusza pod balkon hiacendy błagać dziedzica, by zostawił im tę resztę ziemi, która ich skromnie żywi.

Lecz okrutny pan każe obić chłopa. Wiąże się go i zaczyna okładać batogami. Chłop umiera pod razami. Jego młody syn, obecny przy tej egzekucji, śledzi oprawcę i zabija go sztyletem. By uniknąć kary, ukrywa się w górach Chihuahua. Młodzieniec nazywa się Pancho Villa.

To jest prolog.

Rzeczywista rewolucja zaczyna się dopiero później. I to jest dla nas najcharakterystyczniejszy urywek filmu.

Jakichś dwunastu chłopów, niewiadomo za jakie przewinienia, skazują na śmierć sędziowie, budzący wstręt i śmieszność zarazem. Któż oni są? Są to osoby pudrowane, perfumowane, przybywające do sądu, wygłosić swe okropne sentencje, tak jak się przychodzi do salonu. Jeden z nich ogląda się w lustrze, drugi chrupie cukierki, trzeci drzemie, czwarty przygląda się z zachwytem tabakierce, którą otrzymał od jednego z kolegów. A oskarżonych wiesza się.

Nagle grupa zbuntowanych chłopów z bronią w ręku wpada do sali posiedzeń sądu. Jeden z peonów zamierza strzelać.

Czekaj! — woła Villa. — Nie zabijamy bez sądu! Sprowadź naszych sędziów!

I przed drżących ze strachu sędziów sprowadza się trupy świeżo powieszonych. Sadza się je w fotele sędziowskie. Villa wygłasza płomienne oskarżenie, żądając głów oprawców, i zwracając się z uległością w stronę dwunastu trupów, kończy: — Jeśli panowie sędziowie nie mają nic przeciwko temu. Następuje krwawa masakra.



Nie opowiemy wszystkich scen filmu. Dwie wymienione wskazują już na koloryt filmu. Jest jeszcze wiele innych tego samego rodzaju: wejście Villy do Meksyku, karykatura „triumfów" na rodzaj amerykański; śmierć generała Pascala, rywala Villy, którego ten ostatni oddaje mrówkom na pożarcie; pełne życia i hałasu zdobycie miasta Juarez; wreszcie śmierć generała Villy.

Należy to wszystko obejrzeć, należy zobaczyć Wallace'a Beery, bardzo zdolnego artystę, to przejętego, to zgryźliwego, to rozgorączkowanego, to groteskowego — słowem wspaniałego!

Lecz wśród tego krzyku i ruchu, wśród tego bogactwa akcji, należy zaostrzyć zmysł krytyczny. Narzuca się bowiem wiele kwestyj, które nie pozwalają się łudzić: dlaczego po każdej mocnej scenie następuje jakaś dowcipna, która odpręża widza, która przecina jego wzruszenie i budzące się uczucie buntu, która przeszkadza — lub stara się przeszkodzić — wyciągnąć wnioski z toczącej się akcji? Dlaczego podkreśla się stale i ciągle okrucieństwo rewolucjonistów, a zapomina się — pomijając początkowe sceny — o okrucieństwie właścicieli ziemskich? Dlaczego wreszcie przedstawiono generała Villę nie jako konieczny i fatalny wyraz nastroju niezadowolonych mas lecz jako człowieka, kierownika, narzucającego tłumowi swą osobistość to okrutną, to szlachetną, w rzeczywistości kapryśną?

Porównywano wielokrotnie „Viva Villę" z „Piorunem nad Meksykiem", stworzonym przez Eisensteina. Podobieństwo jest tylko w tem, że oba filmy poruszają ten sam temat — rewolucję w Meksyku. Lecz w filmie Eisensteina wyczuwa się świadomą wolę rewolucyjną, sztukę poważną i coś ludzkiego, autentycznego — czego brak, mimo wszystko, całości „Viva Villy". Lecz to pomieszanie pojęć, tendencyj, prądów, to obraz dzisiejszej Ameryki

„Monde", Paryż.

Trzy kapelusze w jednym

Kapelusze spłaszczają się tak bardzo i tak bardzo niekiedy rosną wgórę, że trudno zorjentować się w mnogości ich przeróżnych form.

Są wśród nich płaskie, płaściutkie berety,



które na głowie trzymają się tylko dzięki perswazji i mocnemu kawałkowi gumy. Są rosyjskie toczki kozackie, nie zawsze, jak łatwo sobie wyobrazić, zrobione z futra. Widziałam jeden taki z materjału, wysokości na blisko stopę, noszony lekko na bakier.

Inny jeszcze kapelusz z tego samego gatunku, który miał zdumioną minę i rondo odgięte sztorcem do góry. Wyglądał oczywiście, trochę dziwacznie, ale większość nowych kapeluszy tak wygląda, zanim się do nich oko przyzwyczai. Mimo to każdy z nich jest możliwy do noszenia.

Nad modą kapeluszy można się także zastanowić z historycznego punktu widzenia, który możemy zawdzięczać fantazji filmowców. Wydaje się, że zmęczyli się oni jednostajnością Hollywood'u i jego mody. A przecież na zabawach w starożytnym Rzymie, średniowiecznej Szwecji czy Hiszpanji z siedemnastego stulecia, w stylowych strojach tyle się wydarzało niezwykłych rzeczy (oczywiście jeżeli wierzyć filmom). Ponieważ zaś gwiazdy filmowe pięknie wyglądały, w kostjumowych filmach mamy teraz prawdziwą epidemję historycznych kapeluszy, z których niektóre są rzeczywiście ładne.

Na czoło ich wysuwają się trójrogi (trykorny). Nadają one twarzy niewieściej charakter romantyczny, zwłaszcza w połączeniu z aksamitnym płaszczem i futrem o długim włosie.

Na bardziej sportowe okazje przeznaczone są, przybrane piórkami filce o falistych rondach, noszone tak krzywo, że przód kapelusza wypada nad uchem. Szeroki, hiszpański, o niskiej główce kapelusz Don Juana także cieszy się popularnością.

Cromwell od pewnego czasu napewno przewraca się w grobie, widząc, w jak mało purytański sposób jakaś platynowa blondynka potrafi nosić jego poważny, o sztywnej główce kapelusz.

U pewnej mojej znajomej, która studjowała arkana sztuki modniarskiej w Paryżu i Brukseli, widziałam kapelusz na trzy zmiany — specjalnie dogodny dla niezdecydowanych pań, które raz marzą o rosyjskim toczku, raz pożądają płaskiego beretu, a wreszcie, w przystępie romantyzmu, martwią się, że nie kupiły tricorna.

Kapelusz, o którym mówię, miał pewne cechy



każdego z nich, tak, że łatwo było go nagiąć do jednej z wybranych form. Ta „trójca", którą widziałam, była z czarnego welwetu, ale łatwo można ją wykonać z innego miękkiego materjału.

Widziałam także beret całkowicie wykonany z piórek, który ważył dokładnie dwa gramy. Troszkę byłam zgorszona, widząc białą rybitwę na przodzie małego czarnego toczka. Ale są przecież osoby, które nie lubią tych ptaków w żadnej okazji, prawda?

„Lady's Home Journal", Londyn.

Prawdziwie elegancki kapelusz jesienny winien odpowiadać trzem warunkom. Po pierwsze: nosi się go wysoko z tyłu głowy i nisko



nasunięty na czoło. Po drugie: musi przywoływać na myśl romantyczne reminiscencje. Musi przypominać kapelusz François Villon'a, czapę kozacką, kapelusik tyrolskiego jodellera, albo beret hiszpańskiego matadora. Po trzecie: musi być bardzo twarzowy.

„Vogue", Londyn.

Kuracja

Maharadża z Gondalah w najbliższym czasie będzie obchodził siedemdziesiąte urodziny.

Zwyczaj nakazuje mu, z tej okazji, zważyć się i rozdać biednym ekwiwalent swej wagi w złocie. Maharadża przygotowuje się do tej uroczystości, przechodząc surową kurację odtłuszczającą.

„1934", Paryż.

We Francji

(Dokończenie ze str. 2)

Przykra niespodzianka

Wrażenie jakie wystąpienie p. Becka zrobiło, było tem większe, że nikt się nie spodziewał takiej manifestacji, gabinet Warszawy bowiem nie uznał za odpowiednie poinformować o swoich zamiarach ani sekretarjatu Ligi, ani żadnego z mocarstw, między innemi i Francji, z któremi Polska ma podpisane sojusze, porozumienia lub umowy, z których wynika konieczność porozumienia się w sprawach znaczenia ogólnego. Jest to dziwny sposób wykonywania porozumienia; i nie jest to, nadomiar, pierwszy raz, że rząd Warszawy nie postępuje w duchu współpracy, jaki jest wymagany między sojusznikami. W każdym razie wystąpienie p. Becka zrobiło wrażenie niespodzianki. Z milczenia, w jakiem jego deklaracji wysłuchano, polski minister spraw zagranicznych mógł się zorjentować, jaką niespodzianką było dla zgromadzenia Ligi, wobec tego, co jest w rzeczywistości niczem innem, jak zignorowaniem jednej z istotnych zasad Ligi Narodów. Jest to proceder, którego Niemcy aż zanadto nadużywały i który doprowadził je do izolacji.

„Le Temps“, Paryż.

We Włoszech

Ukryte cele wystąpienia Polski

Pewne jest w każdym razie, że Francja stara się postępować w stosunku do Polski z największą delikatnością i umiarkowaniem i że dąży do uczciwego porozumienia. W tym celu stanowisko zajęte przez delegata włoskiego bar. Aloisi'ego może oddać wielkie usługi.

Sprawa nie jest jednak tak łatwa. A to dlatego, że pociągnięcie rządu warszawskiego jest następstwem złego humoru Polski spowodu przyjęcia Rosji do Ligi Narodów, a przyczyny tego rodzaju nie łatwo dają się wyeliminować.

„La Stampa“, Turyn.

W Niemczech

Hitlerowcy wzywają do... ochrony mniejszości

Z wielkiem zadowoleniem podkreślamy fakt, że minister Beck tak jaskrawie oświetlił podwójne miary stosowane przez Ligę Narodów, i że ma być położony kres niesprawiedliwym pod pewnym względem stosunkom, ale praktyczna realizacja tego oświadczenia nastraja pesymistycznie.

Pożądana jest oczywiście lepsza forma ochrony mniejszości, niż dotychczasowa, ale wobec polskiej próby uwolnienia się od istniejących metod, zapytać należy, czy nowy stan rzeczy zapewni lepsze stosunki i czy to wystąpienie przeciw nieuczciwym metodom genewskim nie będzie równoznaczne z ciosem, wymierzonym w prawa i ochronę mniejszości wogóle.

Polska ma teraz sposobność zawstydzić Ligę Narodów, której zarzuciła niedbalstwo, a to przez opracowanie takiej metody ochrony mniejszości, która byłaby lepsza od metod przez Ligę stosowanych.

„Voelkischer Beobachter“, Berlin.

Coś, co Mussoliniemu nigdy się nie udało

Twierdzenie, że z wypowiedzeniem traktatu mniejszościowego, jako części Traktatu Wersalskiego, cała prawno-konstytucjonalna podstawa państwa polskiego staje się iluzoryczna, jest bezpodstawne; można jednak stanąć na stanowisku, że wypowiedzenie tych klauzul o ochronie mniejszości czyni *rewizję niektórych traktatów pokojowych* polityczną koniecznością, a więc i rewizje traktatu w Trianon również. Wystąpienie Polski, które stawia pod znakiem zapytania całą procedurę mniejszościową Ligi, zadałoby w ten sposób najcięższy cios polityce Francji i jej południowo-wschodnich sojuszników, którzy trwają przy dosłownem interpretowaniu litery traktatów. Byłoby to osiągnięcie celu, jakie się Mussoliniemu nigdy nie udało.

„Frankfurter Zeitung“, Frankfurt n/M.

W Czechosłowacji

Czechy również chciałyby?

Sprawa mniejszościowa interesuje również w wielkiej mierze i naszą republikę (Czechosłowację), której narzucono klauzule mniejszościowe przy podpisywaniu Traktatu Wersalskiego. Istnieją państwa i mocarstwa, w których również żyją mniejszości, a które nie są związane żadnemi klauzulami międzynarodowemi. Obok Polski i Czechosłowacja jest zaliczona do państw „mniej wartościowych“. Polska, która czuje, że jest mocarstwem, znosi taki stan rzeczy z przykrością. Gest ministra Becka na trybunie Ligi Narodów, był gestem męża stanu świadomego godności państwowej i dumy narodowej.

„Czeskie Słowo“, Praga.

W Austrji

Hitleryzm winien

Odpowiedzialność za wydarzenie dzisiejsze ponosi całkowicie narodowy socjalizm. Pamiętne uchylenie się delegacji niemieckiej od procedury mniejszościowej z okazji petycji Bernheima, mimo, że Niemcy przez długie lata sprawę mniejszościową energicznie przy każdej sposobności wygrywały, utorowało drogę przeciwnikom mniejszości.

Ponieważ zniesienie samych traktatów napotyka na wielkie trudności, prawdopodobne jest zawieszenie tylko procedury mniejszościowej, to znaczy chce się powrócić do dosłownego brzmienia traktatu i oczyścić je z wszelkiej konkretnej wartości praktycznej. Jednem słowem dąży się do usunięcia dzisiejszego systemu automatycznie przyjmowanych i badanych petycyj, komitetów trzech i jawnych obrad nad ich sprawozdaniami.

„Neues Wiener Journal“, Wiedeń.

Wyjątkowy charakter traktatów mniejszościowych

Państwa, powstałe po wojnie, zawdzięczają swoje panowanie nad dzielnicami zamieszkanemi przez mniejszości, nie własnej sile, lecz mocarstwom zwycięskim. Te zaś nie miały wolnej ręki przy wyznaczaniu granic w Europie. Zobowiązały się one oprzeć traktat pokojowy na punktach Wilsona. Na tej podstawie powstały owe gwarancje mniejszościowe, aby zabezpieczyć narodowości, wcielone w granice innych państw. Z tego wynika, że sprawa ochrony mniejszości narodowych zgóry była pomyślana, jako dotycząca tylko pewnych państw, podczas gdy np. rozbrojenie narzucono tylko zwyciężonym, z tem, że i inne państwa, t. j zwycięskie, sczasem się rozbroją. Jeżeli więc wschodni sojusznicy mocarstw zwycięskich otrzymali ziemie, o których mowa, na podstawie przyjęcia traktatu mniejszościowego, to nie mogą one jednostronnie tych zobowiązań zrzucać, a równocześnie te ziemie zatrzymać. Jeżeli więc z jednej strony należy powitać chwalebną inicjatywę Polski, zdążającą do uogólnienia traktatu mniejszościowych, to z drugiej strony nie wolno pozbawiać mniejszości tego minimum środków prawnych, które im traktaty pokojowe zapewniają.

„Neues Wiener Tageblatt“, Wiedeń.

W Szwajcarji

Fatalna trzynastka

Zabobonni ludzie mogliby się umocnić w swoich przekonaniach, co do „fatalnej trzynastki“ na podstawie wydarzenia z 13 b. m w Genewie. Liga Narodów otrzymała nowy potężny cios, a mianowicie nowy cios ze strony Polski, która przez swoje dobicie targu z Rosją już jeden silny cios Lidze zadała. Wiadomo bowiem, że Polska ułożyła się z Rosją w ten sposób, że Rosja zobowiązała się nie wnosić przeciwko Polsce żadnych skarg mniejszościowych, wzamian za co Polska zgodziła się na przyznanie Rosji stałego miejsca w Radzie Ligi. Przez ten targ Polska uczyniła już poważny wyłom w zasiekach ochrony mniejszości i wielkopańskim gestem wyeliminowała Ligę z całego odcinka spraw mniejszościowych.

Dziś Polska zrobiła dalszy krok w swojej wysoce dwuznacznej i makjawelistycznej polityce. Dziś Polska wypowiada współpracę przy stosowaniu obowiązujących ją klauzul o ochronie mniejszości narodowej i własnowolnie przyznaje sobie zupełną swobodę działania, tak jak jej ostatni partner paktu nieagresji, Niemcy, same przyznały sobie wolność inicjatywy w sprawach dozbrojenia.

„Züricher Zeitung“, Zurych.

W Anglji

Słuszne ultimatum

Akcja Polski może budzić wątpliwości o tyle, że godzi w nietykalność traktatów i w autorytet Ligi. Trudno jednak naprawdę usprawiedliwić system, który poddaje kontroli małą grupę państw, podczas gdy pozostali członkowie Ligi mogą traktować swoje mniejszości, jak im się żywnie podoba.

Najlepszą rzeczą obecnie zamiast bezużytecznych rekriminacyj byłoby uczynić ochronę mniejszości powszechną i zmusić wszystkie cywilizowane państwa do poddania się prawom Ligi.

„Daily Herald“, Londyn.



Żona nurka, który łowi miód: — Weź to, bo nie mogę znaleźć siatki.

Redakcja: Warszawa, Króla Alberta I Nr. 3, tel. 2-33-19, czynna w poniedziałki godz. 18—19. Konto P. K. O. Chronos Nr. 14-9-46.

Administracja: Warszawa, Króla Alberta I Nr. 3, tel. 2-33-19, czynna codziennie 10—13. Prenumerata w kraju: mies. 1 zł. 60 gr., kwart. 4 zł. 80 gr.; zagranicą mies. 3 zł., kwart. 9 zł. Ogłoszenia: za wiersze 1 mm. szerokości 1 szpalty 70 groszy, za tekstem; 90 groszy w tekście.

Redaktor odpowiedzialny: **Michał Sass.** Wydawca: **Wydawnictwo „Chronos“ sp. z o. o.**

Druk. „Monolit“, Warszawa, ul. Elektoralna 3, tel. 5.81-92.